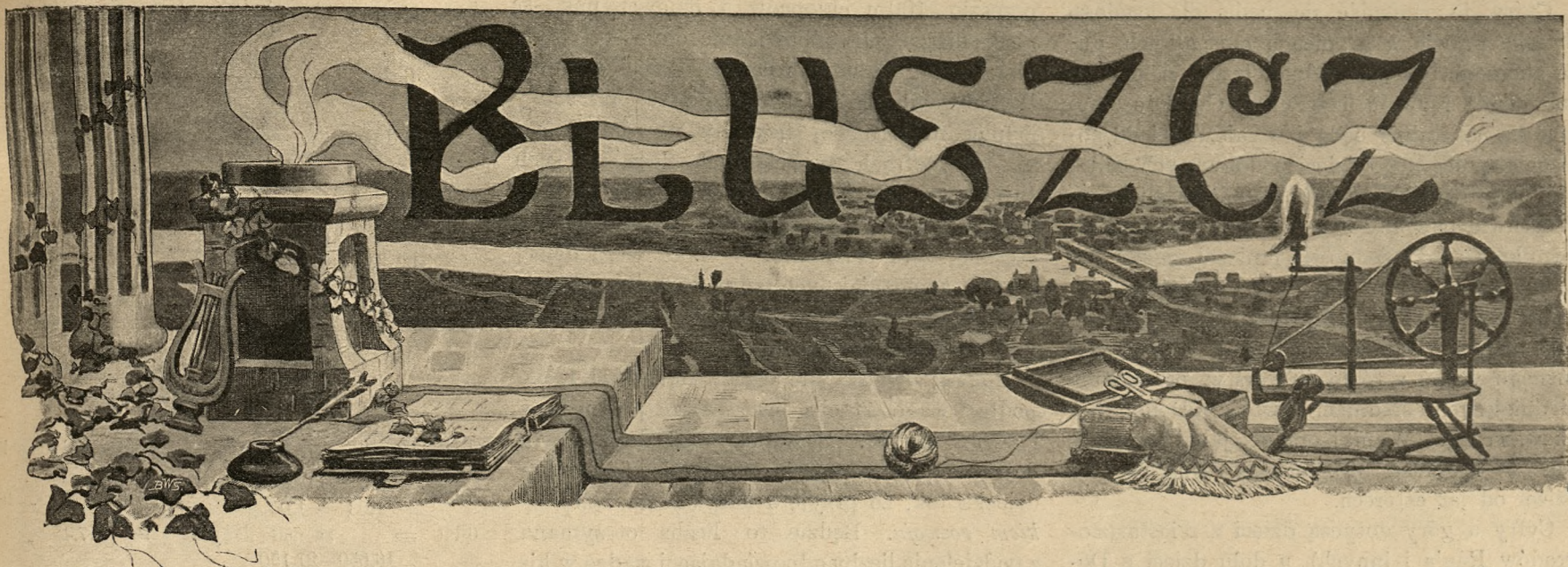




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petittem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Po-
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Rozwój fizyczny dziecka i krzywica.

Skreślił

D-r JÓZEF BRUDZIŃSKI (Łódź).

52

Wiadomości ogółu matek i wychowawców o rozwoju fizycznym dziecka są nader niedo-
stateczne; składa się na to wiele przyczyn, wśród których nieposlednie miejsce zajmuje
brak wykładów z tej dziedziny w szkołach i brak instytucji, poświęconych higienie
dziecka, któreby poglądowo uczyły. Jesteśmy w okresie zapoczątkowania działalno-
ści jednej z takich instytucji, przeznaczonych dla sfer biedniejszych (Instytut higieny
dziecięcej im. Lenwała w Warszawie). Spodziewać się należy, iż wywrze ona wpływ nie-
posledni na rozszerzenie wiadomości o tem, co w rozwoju fizycznym dziecka uważać na-
leży za normalne, a co za zbaczające od normy.

Tymczasem jednak sprawa ta przedstawia się dość smutno.

Przedewszystkiem nam samym brak dokła-
dnego zrozumienia, iż rozwój fizyczny dzie-
cka wymaga umiejętnego pielęgnowania, kon-
trolowania i kierowania. Mówiąc to nie za-
pominam o znanej pieczołowitości matek na-
szych względem swych dzieci; oceniam ją na-
leżycie, lecz *tycze się ona głównie zachorowań
dzieci*. Czuwanie konsekwentne i umiejętne
nad całokształtem rozwoju fizycznego dziecka
pozostawia wiele do życzenia. W tym wzglę-
dzie powodujemy się głównie wrażeniami
subiektywnymi: rozwój fizyczny oceniamy na
oko—bezwarunkowo wygląd i zachowanie się
dziecka posiadają duże znaczenie, większe też
stopnie zaburzeń rozwoju fizycznego rzucają
się w oczy nawet przy tak powierzchownej

obserwacji. Metoda taka jest jednak zawo-
dną i niewystarczającą.

Dla oceniania jednak rozwoju fizycznego
dziecka istnieją pewne wytyczne, zdobyte
przez badania naukowe, które znakomicie to
zadanie ułatwiają. Są to: waga dziecka, wzrost,
objętość klatki piersiowej, obwód głowy i wza-
jemny ich stosunek. Następnie ważne zna-
czenie posiada ząbkowanie, rozwój sfery ru-
chowej dziecka, jak siadanie, chodzenie i t. d.

Systematyczne ważenie dziecka ma donio-
słe znaczenie, przeświadczenie to zaczyna się
już rozpowszechniać co do rozwoju niemo-
włąt, choć i tu w wielu rodzinach systema-
tyczne ważenie bywa w zaniedbaniu; stoi co
prawda na przeszkodzie trudność wypożycze-
nia lub korzystania z odpowiednio zastoso-
wanych wag, trudność ta dałaby się jednak
usunąć: „gdyby istniał popyt, odezwałyby się
podaż.” Nie istnieje ta przeszkoda przy wa-
żeniu dzieci drugiego okresu dzieciństwa,
a jednak w bardzo niewielu rodzinach znaj-
dziemy systematyczne notatki wagi dzieci.

Aby zdać sobie dokładnie sprawę, czy da-
na waga odpowiada normie, należy mieć w pa-
męci choć główne dane co do przyrostu
wagi dziecka w różnych okresach wieku.

Początkowa waga dziecka wynosi przecięt-
nie 3½ kilo czyli 8½ funta, chłopcy ważą
niekiedy więcej i w ogóle waga wyższa u dzie-
ci obojga płci nie jest u nas wcale rzadko-
ścią. Gdy dziecko waży mniej, niż 5 funtów
(2,000 gramów), uważać je należy za obar-
czone t. zw. nieudolnością wrodzoną, słabo-
wite i stosować specjalny system pielęgno-
wania w cieplarkach.

W pierwszym kwartale dziecku przybywa
po 30 grm. (2⅓ l.) dziennie, w drugim 20
grm. (1½ l.), w trzecim 15 grm. (1⅓ l.),
w czwartym 10 gramów (¾ l.).

Ogólnie pamiętać należy, iż około piątego
miesiąca początkowa waga dziecka *podwaja*

się, przy końcu pierwszego roku *potraja się*
(tak że dziecko przeciętnie się rozwijające po-
winno w tych okresach ważyć 17 i 25 funtów).

To cyfry przeciętne — wiele dzieci waży
znacznie więcej, lecz ileż, niestety, mniej!

Następnie waga wzrasta w drugim roku
o 5 funtów (2 kilo), w trzecim — o 3 funty
(1,200 gram.), później co rok do lat 11-tu prze-
ciętnie o 3½—5 funtów (1,500—2 kilo). Po
11-ym roku zwłaszcza u dziewcząt waga za-
czyna wzrastać szybciej, o 7 i więcej funtów
rocznie (2½—5 kilo).

Łatwiej zapamiętać, że dziecko *dobrze odży-
wione* mając lat 6, powinno ważyć *dwa razy
tyle, co po skończonych dwóch latach*, czyli 24
kilo—58½ funtów, w wieku lat 14—*dwa ra-
zy tyle co po skończonych 6-iu latach*, czyli
48 kilo—117½ f. Z tych danych łatwo so-
bie wyprowadzić tabliczkę wagi dziecka od
urodzenia do lat 14-tu.

Przeciętna tabliczka wagi dziecka przed-
stawi się więc, jak następuje:

Waga przy urodzeniu	3½ kilo	8½ funt.
Przy końcu 1-go roku	10	25
„ „ 2-go	12	30
„ „ 3-go	14½	35
„ „ 4-go	16	39
„ „ 5-go	17,300	42½
„ „ 6-go	18	44
„ „ 7-go	21	51½
„ „ 8-go	22,800	55½
„ „ 9-go	25	61
„ „ 10-go	27½	67½
„ „ 11-go	30⅓	74
„ „ 12-go	32,900	80½
„ „ 13-go	35,100	86
„ „ 14-go	37,400	91½
„ „ 15-go	45,500	111

Są to cyfry przeciętne wyprowadzone z du-
żej liczby oznaczeń wagi, oparte na bada-
niach, dokonywanych zagranicą.

Cyfry te zmieniać się będą dla każdego dziecka prawie w granicach normalnych; duże zboczenia uważać jednak trzeba za oznakę zaburzenia rozwoju fizycznego. Cyfry te zmieniać się naturalnie będą i w zależności od położenia społecznego dzieci poddawanych badaniu, jak również w zależności od kraju i rasy. Właściwie powinny być one ustalone dla każdego kraju, jako jednostki etnicznej, *wtedy wahania indywidualne więcej się uwydatnią.*

Dla porównania przeprowadziłem badania nad całym szeregiem chłopców i dziewcząt różnego wieku z różnych warstw, przeważnie biedniejszych i średnich, również z Domu Wychowawczego. Wyniki ogólne, jakie otrzymałem w krótkości przytaczam. Dotyczą one dzieci od lat czterech.

Cyfry u góry dotyczą dzieci z miasta (z ogrodów Rau'a i innych), u dołu dzieci z Domu Wychowawczego.

Przytaczam również jaka waga była najniższa i najwyższa wśród dzieci danego wieku.

Wiek	Waga (kilo)	Średnio
4 lata	14.400—15.970	15 kilo = 36½ f.
5	15.950—17.850	16.900 = 41½ f.
6	za mało danych	
7	16.650—21.150	19.100 = 46⅔ f.
8	21.250—24.250	23.250 = 56,9 f.
	14.900—24.00	20.440 = 50 f.
9	21.100—25.850	23.550 = 57½ f.
	18.800—29.100	22.540 = 55 f.
10	25.550—30.200	27.190 = 66⅓ f.
	20.800—27.200	24.00 = 58 f.
11	25.100—35.00	30.750 = 75,3 f.
12	21.300—26.800—40.600	32.040 = 78½ f.
13	27.800—39.590—49.200	36.330 = 89 f.
14	35.600—41.150	37.930 = 93 f.

Jak widzimy dane przeciętne co do wagi, otrzymane przeze mnie na zasadzie zbadania

przeszło 100-u chłopców i dziewczynek, są nieco niższe, niż odpowiednie dane statystyki niemieckiej; dane dotyczące dzieci z Domu Wychowawczego są jeszcze niższe. Właściwy jednak niedorozwój fizyczny uwydatnia się nie na cyfrach przeciętnych, lecz na tych najniższych dla każdego wieku, jakie podaję. O przyczynach tego zjawiska mówić będę obszerniej i tu zaznaczę, iż dane wagi dzieci ze sfer zamożniejszych też są w wielu wypadkach niższe od pewnej normy — składają się na to podobne przyczyny.

Rozwój dziecka nie ocenia się jednak tylko podług wagi. Trzeba brać zawsze pod uwagę i *wzrost dziecka*. Stosunek wagi do wzrostu daje już pewne pojęcie o rozwoju fizycznym dziecka tak, że przyjęto nazywać go *wskaźnikiem rozwoju*. Będzie to liczba otrzymana z podzielenia liczby odpowiadającej wadze w kilogramach przez liczbę odpowiadającą wzrostowi w *metrach*.

Długość ciała dziecka przy urodzeniu wynosi około 50-ciu ctm., przyrost w przeciągu pierwszego roku wynosi 20 ctm., w drugim roku 10 ctm. w 3-im—7 ctm., w następnych co rok 4—5 ctm. Wzrost 6-cio letniego dziecka powinien wynosić około 100-u ctm. *Wzrost 15-o letniego dziecka wynosi przeciętnie 150 ctm.* Cyfry te dla dziewcząt są nieco tylko mniejsze.

Określmy teraz wskaźnik rozwoju. Dla porównania przytaczam wskaźnik rozwoju, jaki wypadnie dla każdego wieku, ze statystyki niemieckiej i danych zebranych przeze mnie, ograniczając się paru przykładami.

1 rok	10.000	0.703	1.42
2 lata	12.000	0.811	14.7

4 lata	16.120	0.925	17.4
6 lat	17.930	1.065	16.8
8 lat	22.840	1.187	19.2
10 lat	27.550	1.273	21.5
12 lat	32.960	136.0	2.42
14 lat	37.450	147.7	25.3

Dane własne:

4 lata	14.400—15.970	0.91 — 0.945	15.8—16.8	śr. 16,10
5 lat	15.950—17.850	1.03 — 1.05	15.4—17.0	„ 16,20
6 lat	za mało danych		± 17.4	„ —
7 lat	16.650—21.150	1.055 — 1.170	15.8—18.0	„ 17,1
8 lat	21.250—25.250	22.250	18.1—19.8—20.6	19,20
	1.17 — 1.275	1.08		
9 lat	21.100—25.850	45.550	17.2—20.1	38.6 19.5
	1.225 — 1.285	1.18		
10 lat	25.550—28.050	1.29 — 1.30	19.8—21.3—21.4	„ 20,8
11 lat	27.250—35.00	1.31 — 1.42	19.9—24.6	„ 22,70
12 lat	26.800—36.500	1.275 — 1.42	21,0—25.7	„ 23,7
13 lat	27.800—39.590	49.200	20.9—27.3—30.5	24,9
	1.33 — 1.445	1.61		
14 lat	35.600—41.150	1.485 — 1.53.3	23.9—36.7	„ 25,6

Jak widzimy w przeciętnych cyfrach różnice są niewielkie. Z naszej statystyki widzimy jednak jakie wahania zachodzą u poszczególnych dzieci tego samego wieku, do tego stopnia, że niektóre dzieci o kilka lat są cofnięte w swym rozwoju fizycznym. W ogóle wskaźnik rozwoju dostarczy nam nader ciekawych danych.

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Ani się człek obejrzał, jak głowę popiołem posypał; nie witany i nie żegnany karnawał gdzieś w mgłach się rozplątał, żadnych wspomnień rozkosznych nie pozostawiając po sobie, żadnych dźwięków, ech żadnych, które czasami marzeniem słodkiem w zaniepokojone wpadają serduszka i długo śnić im każą o cudownie spędzonych zapustach. Cisza poprzedziła ten nasz karnawał i cisza pozostała po nim, jeno czujne ucho kronikarza może gdzie za ścianą, po za oknami szczelnie osłoniętymi, zasłyszano przyciszone dźwięki fortepianu, może jaka młodzianka parka lekko zakręciła się w walczyku, ale karcenia jej za to zamiaru wcale nie mam, tem bardziej podejrzenia, że się nie dostraja do ogólnego tonu miasta i społeczeństwa całego, że nie odczuwa jego dreszczów i niepokojów. I młodość może być poważna, ale wesoła być zawsze powinna, to jej oblicze duchowe, to znamiona jej zdrowia fizycznego, tego zdrowia, które nie pozwala zbyt długo w zadumie się pograżać i każe śmiechem parsknąć, choć przed-

tem nie jedną wypowiedziało się myśl poważną i odczuło się nie jeden ból, nawet żywiej, niż to uczynić mogło serce przez lata i doświadczenie wyziębione.

Przeciwnie, dziwię się nawet, że nic się prawie nie słyszało o zabawach kryjomych, i zdziwienie to jest miłe bardzo, bo bądź co bądź, znaczenie chwili i jej powagę, zrozumiała i młodość wesoła, i dała wyraz znamiennej dojrzałości umysłowej, jako też uczucie szlachetności. Dawno już nie było tak cichego karnawału i jeno człek się zdziwił, że niektórzy poeci nic o tem nie wiedzieli, i posypując głowę popiołem, na dawną zakwilili nutę, o tym nieboszczyku niewinnym, który grzmiał, szumiał, dzwonił, ciskał strzałami Amora; po którym jeszcze echo płynie, zaniepokojenie serc zostaje, rozkoszne marzenia się błakają — słowem to wszystko, co od lat X. się powtarza w każdą środę popielcową, jako temat rymów po-zapustnych.

Wypadki przeżywane obecnie, ważność chwili poruszyły dziennikarstwo nasze i nadały mu pewną odwagę w wypowiedaniu zdań i przekonań, które dotychczas mgłą jakąś były owiane i grzeszyło niedopowiedzeniami, wykrętami stylistycznymi, koziołkami myśli niezupełnie zrozumiałych. W chwilach przełomowych i ogólnego podniecenia

nerwów, nie trudno o straszaki. Czego to się nie papie? jakieś niestworzone wiadomości ten i ów, powracający z miasta, do domu przynosił, a każda wieść jest *autentyczna*, z *najlepszego* pochodząca źródła, tak, że gdyby setna część tych wiadomości sprawdziła się z grodu naszego kamieńby na kamieniu nie pozostał, a ludziska dotknięci byliby nieuleczalną chorobą św. Wita. Niektóre pisma nawet dały posłuch tym nieuzasadnionym plotkom i zamiast uspakajać publiczność, plewę od ziarna oddzielać — półsłówkami i niedomówieniami zwiększały jeno owo straszdyło na wróble.

Zasługą więc obywatelską jest stanowczy protest „Kurryera Codziennego“, wypowiedziany w kapitalnym artykule wstępnym, zatytułowanym: „Dość już zamętu!“ Coś chodzi, coś błaka się, coś straszy. Ludziska spoglądają po za siebie, w imaginacji swojej pozwalają rozrastać się widmom niebywałym, fantazyą własną dopełniają rzeczy zasłyszane i okropny galimatias się robi, a trwoga głupia, która na niektóre osobniki tak dalece już oddziaływała, że pozabierali swoje lary i penaty i wynieśli się z Warszawy... do krain włoskich. Niema co mówić — zuchy! a przedziwnie kraj swój miłujący. Jedna tu jest tylko pociecha, że on na uciekinierach takich nie

Z kolei wypada nam omówić, jaki stosunek zachodzi między wzrostem dziecka i obwodem klatki piersiowej.

Obwód klatki piersiowej u nowonarodzonego dobrze rozwiniętego dziecka, powinien przewyższać połowę długości jego ciała o 9—10 ctm., po skończonych trzech latach o 12 ctm., po pięciu o 10 ctm., po 10 o 4—5 ctm. (około 15 lat powinien się równać połowie wzrostu).

Z badań naszych wypada, że wzrost dzieci naszych nie ustępuje prawie danym przeciętnym, ztąd jednak do radości jeszcze daleko,—jak się bowiem przekonamy, rozwój klatki piersiowej dużo pozostawia do życzenia, zamiast przewyższać połowę wzrostu o podane wyżej ilości, przewyższa zaledwie o pewne części tych ilości, jak to widać na tabliczce następującej. W nawiasie podaję o ile powinien obwód klatki piersiowej przewyższać połowę wzrostu.

Cyfry przeciętne, z obliczeń otrzymane:

Obw. kl. pier.	Wzrost	Stosunek
4 lata 52 ctm.	91 ctm.	+6,5 (+12)
7 lat 55,6 „	110,9 „	+0,15 (+10)
9 lat 62,6 „	120,0 „	+2,6 (+5)
11 lat 65 „	135 „	—2,5 (+4—5)
14 lat 75 „	153 „	—1,5 (=)

Wiedzieć również należy, jakie wymiary ma główka dziecka; bardzo często matki bywają zaniepokojone i zapytują, czy dziecko nie ma za dużej główki. Są to najczęściej obawy nieuzasadnione, lecz często dziecko ma rzeczywiście główkę stosunkowo za dużą. Obwód główki nowonarodzonego wynosi 33—35-ciu ctm., u 6-cio miesięcz.—42 ctm., u rocznego—45—46 ctm., u 2-u letniego dziecka—48 ctm., u 7-mio letniego—50—51 ctm., u do-

rosłego—54—59 ctm. Istnieje pewien stosunek między obwodem głowy i klatki piersiowej, mianowicie są one sobie z początku równe i wzrastają prawie równo do 5-ciu lat dopiero potem obwód klatki piersiowej znacznie zaczyna przewyższać obwód głowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Ludzie rzadko zaglądali do stróża, zniechęceni jego mrukowatością, tylko ogrodnikowa wstępowała czasem, żeby korzystając ze swych zasług, czemś się „pożywić.“ Nie można było wybić ludziom z głowy, że ten mruk był utajonym skąpcem.

Zwykle pożyczala trochę nafty, soli, smolnych szczap, a przy tej okazji zasiadała do gawędki, i żeby gospodarza dobrze dla swej prośby usposobić, pieściła i chwaliła małą.

— Śmiech powiedzieć, ale wyciera się ładna z niej dziewczyna.

— Po co gadacie! — mruczał Gedras niechętnie. — Co można poznać z takiego bąka, a w głowę sobie głupstwo nabije!

— Ale, właśnie, tego jej nie powiedzą inni, jak dorośnie. Ot, co ją tak trzymacie samą, chcecie, zabiorę ją na wieczór do moich, niech się pobawia...

— A po co? Żeby się potem ciągle do kom-

panii napierała i żeby ją tam „znajdą“ częstowali? Niech siedzi cicho w domu!

— Juści nie utrzymacie tak zawsze. Jeszcze trochę podrośnie, to ją do dzieci ciągnąć będzie i nie upilnujecie! Coście tacy zazdrośni?...

— Nu, co będzie — nie wiem, ale teraz i krokiem od siebie nie puszcę.

Dziecko się nie napierało i nie nudziło. Miało w sobie wielki zasób przemyślności i ciekawości do zajęcia. Dreptało za nim, gdy gotował, gdy sprzątał; naśladowała go i niby pomagała. Tylko czasem pytała załóżnie, kiedy będzie „świat,“ tak zwała lato. No i tak doczekała drugiego lata na powietrzu.

Teraz już śmielej się poruszała, odnalazła swe kamyki i drogę do drwalni, ale zawsze największą ciekawością napępiał ją pański sad.

Podrosła na tyle, że noskiem sięgała nad podmurowanie, i mogła tak stać godzinami, zapatrzona w cuda, oniemiała z zachwytu.

— Tato, — opowiadała potem, — tam za tym murem są niby dzieci, takie, jak ja, tylko ja czerwona, a one całe białe. Dlaczego to?

— To są pańskie dzieci! Żebyś mi nie śmiała na nie wołać i im się pokazywać.

— Czy one kasaają?

— Głupias! Nie wolno ci być z nimi i ba-sta!

— A tam są też na drzewach czerwone kwiaty, które ogrodniczek zrywa i zjada. Daj mnie tato, tych kwiatów!

Ubawiony, kupił jej kilka jabłek. Smakowały, ale bardzo była zmartwiona, że kot i pies nie chcieli uwierzyć, że to bardzo smaczne.

— Tato, żebyś ty przyniósł całe takie drzewo i posadził u nas pod oknem. Żeby

nie zyska i nie nie straci, niechże im więc lekkie będą strony auzońskie, a jeżeli jest jaka szkoda, to nie ich wcale, tylko grosza wywiezionego, który w tak krytycznej chwili przydałby się tej ziemi, tak bardzo przez nich ukochanej. Słowem, rzuca pytanie autor wspomnianego wyżej artykułu. „Co to? czy stoimy wobec jakiejś strasznej katastrofy, którą wbrew woli ogółu przygotowuje tajemnicza, szalona garsć, mająca jednak tyle rozważa, ażeby dziś mieć władzę nad wypadkami wśród zamętu, jaki dotknął dzisiaj wszystkich i wszystko? Co to za programy nienawiści i odwetu krąży w powietrzu? Co to za ciekawi ludzie, gorąco kraj kochający i nieustraszeni, których jednak całe szeregi stanęły bezczynne na halucynację hasel nierozważnych i nieszczęsnych? Co to wszystko znaczy? Zkąd ten hałas w Rodosie? Cemu drżą ludzie i innym o kraj drzeć każą? A może... to tylko krótko- i długotrwała zemsta złośliwego chochlika, może nasz umysł odzwyczajony zdawna od krytykowania wieści, od poważnego wsłuchiwania się w odgłosy z zewnątrz, trwożliwy za to nadmiernie, szybko plotkę w lot podchwytuje i co prędzej niesie ją dalej i dalej, jak ów Stefek Burczymucha z bajeczki dziecięcej na widok myszki polnej: „Tygrys — tato, tygrys!...“

Ostro, ale nie można nie przyznać słowom tym słuszności; bo gdyby nawet było coś z prawdy w trwożliwie rozsiewanych wieściach, toć przecie społeczeństwo rozumne a silne, nie trwożyć się i zdawać lęk powinno, lecz zakasawszy rękawy, do pracy się wziąć i śmiało owemu „tygrysowi“ w oczy spojrzeć. Dobry lekarz nie mówi choremu: „Lękaj się, źle jest z tobą!“ — lecz słowem rozważa i wiary dodaje sił i mocy do prze-trzymania choroby, — a ten spokój duszy, ta pogoda umysłu, bywa czasami lepszym środkiem leczniczym, nad wszelkie aptekarskie preparaty. To też w proteście tym przeciw straszakom, dojrzeliliśmy mężką siłę i dlatego przed czytelniczkami naszymi nie mogliśmy zbyć go milczeniem.

Tymczasem strachy mijają, nikt nikomu karku nie skręcił i nawet fatalny dzień czwartego Marca przeminął cicho. Niżej podpisanym stracił trochę na tym straszaku czwarto-marcowym, boć to był dzień jego imienin, w którym go rok rocznie nawiedzają życiowi i przyjaciele i dopiero dobrze po północy opuszczają ściany jego mieszkania. Tym razem ów straszak, jak miotłą wygnał łaskawców. Szczególnie niewiasty zmroku się obawiały i z za drzwi wyzierających tygrysów, — nie pomagały perswazyje, bajeczka

o strachu, co ma wielkie oczy — za drzwiami tygrys stał i białymi klumkał zębami.

— Ale, co was zastrasza, moje panie?

— Jakto, pan nic nie słyszałeś?...

— Dużo rzeczy słyszałem, mówiono mi nawet i o trzęsieniu ziemi, co z racji, że mieszkam w nowo-budowanej kamienicy, pewną mnie trwoga napawa; pocieszam się jednak tem, że mieszkając na czwartym piętrze, ja będę leciał na czyjeś tam głowy, nie na mnie nieszczęśniki spadać!...

— Pana się zawsze żarty trzymają... A tymczasem mówiła mi kucharka...

— To co innego!... Nie zatrzymuję pani, bo rzeczywiście tygrys za drzwiami stoi...

Bądź co bądź kucharka tak straszną wieść przyniosła, że gościa moja jednej chwili dłużej, mimo nietajonej chęci, pozostać nie chciała — i — musiałem ją nawet sam odprowadzić, by nie uległa przygodzie jakiej.

Ale usatkwuje się wszystko; świat, który wyszedł z normy — jak ś. p. Hamlet powiadał, pomalutku powraca do formy, a choćby mu ona niewygodną była, da sobie jakoś radę, tylko już dłużej na nerwach jego nie grajmy, bo to i niezdrowo jest, i, doprawdy, nieprzyzwyczajenie nawet. To też ludzie śmielsi i zrównoważeni, zabierają się ze spokojem do pracy, o dobru swojego społeczeństwa myśląc.

było dużo, dużo jabłek u nas — cały ten sad!
— To pański sad, nie nasz, a jabłka trzeba kupić, a ja nie mam dużo pieniędzy na dużo jabłek.

— To czemu ty także nie masz takiego sadu?

— No, bo nie mam! — odpowiadał zniecierpliwiony.

— To ty miej, tato. Co to pan?

— Pan to taki starszy i mądry człowiek, który mnie daje pieniądze, żebym go słuchał, drwa woził i wodę, w nocy pilnował, żeby czego nie ukradli co jego jest. Pan nas karmi i odziewa, i daje mieszkanie, a ja mu służę.

Zrozumieć tego nie była w stanie, ale wraży wryły się w pamięć i dużo pierwej wiedziała o „panu,” niż o Bogu.

Tak przeżyła to drugie lato na świecie. Nikt jej prawie nie zauważył, nikt się nie zachwycał jej rozumem i wdziękiem, i nikt jej nie pieścił.

W pałacu równie zdrowo i szczęśliwie hodowała się „panienka,” ukochana pieszczota rodziców. Miała dwóch starszych braci, ale była stanowczo faworytką całego domu. Dzieci zajmowały trzy pokoje i miały do swej obsługi piastunkę, bonę i Jankowską. Cały dzień te trzy kobiety zajęte były swymi pupilami, ubieraniem, strojeniem, bawieniem, pilnowaniem, karmieniem — szczególnie zabawianiem.

Surowo było wzbronione zostawianie bodaj na chwilę dzieci bez dozoru i opieki. Chłopcy byli rano myci i ubierani — sami tego nie umieli uczynić. Strojono ich, jak lalki, i oddawano pod nadzór bony, resztę czasu piastunka i Jankowska spędzały nad Maniusią. Dziecko było ochraniane od chłodnego powietrza, karmione obficie, noszone bezustannie na rękach, ubierane i przebierane sto ra-

zy na dzień, usypiane pieszczotami i śpiwem, karmione często i suto. Od najwcześniejszych chwil życia miało zabawki drogie i ozdobne, które tłukło bezmyślnie, miało złe humory i grymasy, którym dogadzano z zachwytem, że takie „rozumne,” i było bezustannie zabawiane. Najmniejsze niedomaganie napełniało dom cały trwogą i nerwowym zajęciem. Doktor był natychmiast wzywany, leki w bezustannym użyciu, kwestye snu, apetytu, trawienia, były tematem rozmów, sprawdzań, kardynalną treścią zajęcia matki i opiekunek.

W dzieciennych pokojach było bardzo gorąco, żeby się dzieci nie przeziębiły, na powietrze wynoszono Maniusię z tysiącem ostrożności, za pozwoleniem doktora i po długim wahaniu, tylko latem, w porze starannie wybranej, żeby nie było wiatru, zbytznego upału lub wieczornego chłodu.

W pierwszym roku wyjeżdżała w wózku pod eskortą matki i piastunki. — opędzano od niej muchy, osłaniano parasolką od słońca, wożono tu i tam po zwirowanej uliczce w ogrodzie najwyżej godzinę na dzień.

W drugim roku wynosiła ją piastunka na rękę i puszczała na ziemię czasem, gdy było bardzo sucho. Do tych spacerów był osobny kostyum biały, ciepły, na głowie kapturek, na nóżkach kamaszki i buciki, rozpinano zawsze nad nią parasol, żeby się nie opaliła, rączki już ubierano w rękawiczki. Spacerowały dzieciennie odbywały się tylko w ogrodzie, na podwórzu nie wolno było ich puszczać, bo mogły się czego przestraszyć, a szczególnie mogły się zetknąć z ludźmi i zarazić się jaką chorobą. Trwoga o to zdrowie była bezustanna. Służbie nie było wolno nigdzie się wydalać, ari przyjmować wizyt, pokoje dzieciennie były izolowane od wszelkiej styczności ze

światem, a jednak dzieci bezustannie niedomagali i doktor liczone tylko dni nie były wzywani.

Chłopcy liczyli lat siedm i pięć, gdy Maniusia miała trzy. Przez ten czas zmieniało się kilka bon i piastunek, tylko stara Jankowska potrafiła wytrwać na swym stanowisku. Co prawda wyhodowała panią Zarebinę i była na osobnych prawach, udawało jej się czasem woli dzieci nie spełnić i kaprysom nie ulegć — innym to było surowo wzbronione. Wszelkie sprzeciwienie się dzieciom wywoływało płacz, krzyk, skargi przed matką i w rezultacie dzieci na swoim zawsze postawiły.

Piastunki wydawano bez ceremonii, bony zwykle same uciekały, ale dzieciom trzeba było ustąpić, dogodzić, strzedz „biedactwa” przed złem sercem i głupotą tych „nieznosnych kreatur.”

O zastępczyni było nie trudno. Świat pełen jest ubogich dziewczyn bez wykształcenia i fachu, zmuszonych na chleb pracować i które z tych wszystkich racyi oddają się pilnowaniu i nauczaniu małych dzieci. Po każdym przejściu i wydaleniu bony, pani Zarebina pisała do rodziny do Warszawy i odwrotną pocztą otrzymywała nową bonę, wybraną na zasadzie taniości i najmniejszej skali wymagań. Wybieranie piastunek załatwiała Jankowska.

Kosztowało to dużo, sprawiało w domu nieustanny zamęt, ale było oczywistym dowodem, że Zarebowie dzieci kochają, o nich wciąż myślą, niczego dla nich nie odmawiają.

Zareba ożenił się w Warszawie z córką bogatego mecenasa. Poznał ją w karnawale na balu, uznał za dobrą partję, zaczął bywać w domu rodzicielskim, oświadczył się, a chociaż panna się wzdragala przed „zakopaniem się na prowincyi,” rodzice, radzi pozbyć się

Przed paru laty, w pewnym kółku towarzyskim, powstała była dobra myśl, założenia Domu przytulku i wychowawczego zarazem, dla dzieci nieszczęśliwych, których rodzice na mocy wyroków sądowych są skazani na więzienie lub ciężkie roboty. Inicyatywę tego przytuliska, ze wszech miar na uznanie i poparcie zasługującą, dała pani inżynierowa Konopczyńska — i teraz owa myśl piękna w rzeczywistość się zamienia, gdyż przy udziale ordynata Maurycego hrabiego Zamoyskiego, ks. kanonika Z. Chelmskiego i mecenasa E. Waydla, opracowano podanie do władz i w tych dniach odpowiedź przychylną otrzymano. Tak więc od dnia dzisiejszego dobroczynna instytucja w życie wchodzi i prawdziwym dobrodziejstwem się staje dla biednej tej dziatwy, nie tylko pozbawionej opieki rodzicielskiej, lecz niewinnie cierpiącej za grzechy i przewinienia cudze. Dzieci takich rodziców nosiły jakąś klątwę na sobie, trzeba było zbiegu szczęśliwych jakichś okoliczności, mocy ducha i woli silnej, by otrząsnąć się z tego niezasłużonego przekleństwa, nie wykoleić się, nie upaść moralnie i wejść do społeczeństwa jako jego prawy i użyteczny członek. P. Konopczyńska już wcześniej poczyniła zabiegi około wprowadzenia w czyn myśli swojej, tak, aby z chwilą uzy-

skania pozwolenia władz, nie stawiało na przeszkodzie do natychmiastowego urzeczywistnienia jej projektu. To też przełamała wszelkie trudności, jakie na drodze jej marzeń stanąć mogły i pod przewodnictwem swoim, zgrupowawszy od razu poważny zastęp ludzi dobrej woli, którzy czynem i stałą zapomogą myśl jej poparli, przystąpiła niezwłocznie do rzeczy. I oto, przytułek tymczasowo urządzony, przygarnął już około dwudziestu dziewcząt. Ciasno jest jeszcze w tym przytulisku, ale schludnie i jasno — lecz Bóg da, że z czasem instytucja ta dobroczynna prawdziwie szeroko się rozwinie i stanie się podwaliną dzieła niemałej doniosłości. Do instytucji tej zapisało się kilka młodych panienek, które składając dobre chęci na ołtarz dobra publicznego, stale poświęcają działwie kilka godzin dziennie swej użytecznej pracy.

Ustawa przytulku pozwala na przyjmowanie dzieci płci obojga, wszelkich wyznań, od wieku najmłodszego do lat 16-tu. Dzieci, przygarnięte na wychowanie, również zgodnie z Ustawą, będą kształcone w zakresie elementarnym, niezależnie od zajęć: w szwalni, przy balii, około gospodarstwa kobiecego, rzemiosła i t. d.

Bardzo też piękną podniósł myśl ordynat

Maurycy hrabia Zamoyski, chcąc przyjąć z pomocą pracownikom ordynacji. Myśl ta łączy się z uczczeniem 300-ej rocznicy zgonu założyciela ordynacji Zamoyskich, wielkiego kanclerza i hetmana Jana Zamoyskiego. Ordynat Maurycy podjął projekt założenia Kasy zapomogowo-oszczędnościowej dla oficyalistów i pracowników w ordynackich dobrach swoich. W tym celu wystąpił do ministerium spraw wewnętrznych o zatwierdzenie ustawy, która ma się rozciągać na dobra ordynacji Zamoyskich, oraz na nieruchomość № 472 w Warszawie.

Mówiąc to o tem, to o owem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, nie źle byłoby może i na sprawach teatralnych się zatrzymać. Obecnie na scenie „Rozmaitości” naszej, panuje cztero-aktowa tragedia Franka Wedekinda p. t.: „Demon ziemi.” Demon!... oczywiście kobieta. Nie byłem na tej sztuce, ale wedle sprawozdań dziennikarskich, jest to jakaś zbieranina bezładna, interesująca tylko dekoracyami i kostyumami, na które teatr nasz wysilił się. Dziwi mnie jedna rzecz tylko; jeżeli sztuka oryginalna ma być grana — z wydatkami pewnymi na dekoracje jest zawsze kłopot, a byle „Wedekind,” kassa teatralna dość hojnie się opróżnia. I jeszcze rzecz dziwna. Każdy nowy reżyser czuje się

jednej z pięciu córek z domu, przekonali ją, że to uśmiech losu i pomyślność — i już po Wielkiejnocy był ślub.

Małżeństwo uchodziło za dobrze dobrane i szczęśliwe. Z razu młoda pani tęskniła za Warszawą, nudziła się i wyrzekała na brak towarzystwa, potem potrosze zawiązała stosunki w okolicy, potrosze nawykła, i wreszcie uwierzyła w zachwyty matki i sióstr, że los jej do zazdrości.

— Bój się Boga, Tereniu, wielki los wygrałaś! — mówiła matka. — Jesteś bogata, masz tyle służby, taki dom, doskonałego kucharza, mąż się w nic nie wtrąca, spełnia twe wszystkie życzenia, daje ci, ile chcesz na stroje, o nie się nie potrzebujesz troszczyć — pieczone, warzone masz gotowe! Żyjesz sobie, jak królowa. Żebyś wiedziała, jak Mania się biedzi z tym swoim starym, który jej każdy grosz rachuje i pilnuje jej każdego kroku, a te trzy, co jeszcze czekają partyi, jak ci zazdroszczą. Mówię ci — królewskie masz życie!

Życie Zarebiny nie było może królewskie, ale było istnieniem sułtanki. Mąż wymagał od niej tego, co wymagają od hurysy: rozkoszy i piękności. Stroił ją i dumny był z jej urody, dogadzała jego próżności, była w jego domu cackiem zbyt kownem, którem się rad przed innymi chwalił.

Pani Teresa stosowna była do tej roli. Lubiała stroje, hołdy, zbytek, wygody i próżniactwo. Cnota jej zresztą była bez zarzutu, nie tyle może dzięki zasadom, jak dzięki lenistwu i zamilowaniu wygody i spokoju. Bardzo prędko poczęła tyć i nabierać gustów sybarytyki. Lubiała jeść dobrze i dużo, lubiała się wylegać długo w łóżku, jak najdłużej przebywać w szlafroku, czas spędzać na gawędach z Jankowską, i całowaniu i pieszczoniu dzieci.

Zareba wstawał rano i cały dzień pracował w biurze lub fabryce, goście bywali rzadko, służby było pełno, pomimo próżniactwa więc, dom był utrzymywany wzorowo, i pani domu nie miała nic do roboty, nie miała też żadnego zamilowania do gospodarstwa i jakiegokolwiek zajęcia, nawet nie prowadziła żadnych rachunków, ani wglądała w czynności ogrodnika i szafarki.

Śniadanie spożywała w łóżku, przynoszono jej wtedy do zabawy i pieszczot najmniejsze dziecko. Tak leżąc w puchach, zacałowywała i opychała przysmakami tę swoją latorośl. Zwykle przychodziły i starsze, i pomimo zapowiedzi, że nic nie dostaną, dojadły biszkopty i ciastka, bo matka nie umiała im nie stanowczo odmówić.

Około południa zabierano dzieci, zawsze po długich protestach, grymasach — ułagodzone i namówione obietnicą, że „jeśli kochają mamusię, to sobie pójda, będą grzeczne, a za to coś dostaną.“

Wtedy to pani Teresa wstawała i ubierała się. Trwało to z długimi przerwami do godziny czwartej, gdy Zareba przychodził z fabryki na obiad. Zastawał żonę już wystrojoną, i zasiadali do stołu. Bona z chłopcami ukazywała się także.

Zareba kochał dzieci, ale wymagał, aby były grzeczne i ciche, chłopcy trochę się bali ojca, więc z początku obiadu zachowywali się przystojnie. Bona ich sadzała na krzeselkach, zawiązywała serwetki, krajała im mięso, omal nie żuła za nich i nie połykała.

Ale już po zupie rozpoczynało się napieranie i proszenie, szeptu niesmiałe bony, odmowa matki.

— Czego oni chcą? — pytał Zareba.

— Ależ nie uważaj. Józio się napiera piwa, a doktor stanowczo mu zabronił.

— Tatusiu, ja tylko kropelkę! — poczynął skamleć malec.

— Tatusiu, a mnie Fräulein nie chce dać kartofli! — wtórował drugi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zostań nadziejo!...



Pozostań tutaj... za mną w ślad
Popędzą wizye i mary —
Słońce mi lśniło tyle lat —
Lało promienne w krew żary —
Pozostań tutaj!... za mną w ślad
Szczęścia pogonią mary...

Rozpierzchła zwiewna złuda, szal —
Lat tyle — i tyle pieśni —
Duch się w zawrotne wyże rwał,
I wierzył, że życie prześni, —
Rozpierzchła zwiewna złuda, szal —
I nie rozbudzi już pieśni.

Poblada zielen gajów, pół —
Życia zciemniały odmetry,
Poszarpał duszę krwawy ból —
I stoczył się duch wyklęty;
Poblada zielen gajów, pół —
Duch mój się stoczył w odmetry.

Zostań nadziejo — pójde sam —
W dał niezmierzoną i ciemną,
Płomienne tęcze innym kłam,
Mnie zwodzić — próżno — daremno —
Pozostań! — w życie pójde sam —
Jak w noc upiorną i ciemną...

Liliana.

w obowiązku dla dobra naszego polskiego teatru, do Wiednia i Berlina wyruszyć. Zdawałoby się, że ta podróż, cuda nam nowości przyniesie i zawstydzi dramaturgów naszych, którym nie jest zbyt łatwo dostać się na scenę naszą.

I cóż?... Zwiedza się Berlin, Wiedeń, przywozi się Wedekinda, a teatr sobie jak chromał, tak chroma, a publiczność zamilowania Bożego czeka. Obecnie, nowy reżyser teatru p. Bolesław Ładnowski, a osobisty mój przyjaciel, także pojechał do Wiednia i Berlina. Jakim był reżyserem, wiemy to z lat uprzednich jego rządów; dyrekcya i publiczność zadowolone były. Teraz po różnych próbach, znowu na dawne stanowisko powrócił, i, — powiedzmy szczerze, jak na Zawiszę na niego liczymy, że nie pożałuje pracy i trudu, i teatr nasz do właściwej mu wysokości podniesie. Przyjacielskiej jednak nie poskapimy mu rady, ażeby mniej niż dotychczasowi reżyserowie teatru za obcemi sztukami się obzierał; niech chętniej, niż inni, po płody rodzimej sztuki sięga, przecie teatr nasz jest dla nas, a dopóki *jedynym* jest u nas przybytkiem sztuki, muszą na deskach jego i arcydzieła, i pierwociny się znaleźć, bo on zarazem musi być i akademią, i szkołą. Z dobrą otuchą i radością przyjęliśmy powrót jego na dawniej

już zajmowane stanowisko. Prawość charakteru, bezstronność w ocenianiu dzieł mu nadasyłanych — za nim mówią. Zatem czekamy jego powrotu z Wiednia i Berlina, ale nie chcemy balastu sztuk obcych. Nuta swojska najmiłsza jest nam zawsze.

Musimy teraz parę słów skreślić o wydawnictwach nowych.

Miejsce poczesne „z wieku i urzędu“ należy się księciu Józefowi Poniatowskiemu. Dziełem swoim professor Askenazy, prawdziwy pomnik niezapomnianej pamięci, księciu Pepi wystawił. Dopiero teraz w całej piękności, potędze i blasku ta postać dziejowa ukazała się przed nami. I wiedział naród, co czynił, grób mu na Wawelu dając. Mamże tu mówić, że owa księga o księciu Józefie w każdym domu polskim być powinna? Zbyteczne byłoby zachęcanie do jej kupna, nęceniem publiczności wspaniałem wydawnictwem dzieła, przepyszniemi ilustracyami, kiedy już sama treść, sam ten żywot księcia Józefa, powinny zachęcić wszystkich, dla których nie obojętną jest przeszłość narodu, do wzbogacenia tem arcydziełem historycznym głowy i biblioteki swojej.

Drugim pomnikiem są ostatnie trzy zeszyty „Chimery“, poświęcone dziełom tak mało znanego u nas pisarza-poety, jakim jest Cy-

pryan Norwid. Prawie całość prac Norwida w tych trzech zeszytach się znajduje. Wydania tego Zenon Przesmycki z prawdziwym pietyzmem dokonał: zresztą wiemy, że „Chimera“ ma szatę zawsze piękną, a cóż, gdy chodziło o wydanie dzieł Norwida!... Księgę zdobią portrety autora i jego własne rysunki. Ogromna luka w literaturze naszej z przed laty sześćdziesięciu wypełniła się; z ręką na sercu powiemy, że dobrze Przesmycki zasłużył się literaturze ojczystej tem wydawnictwem dzieł pana Cypryana.

Przed sobą mam trzy książeczki z „Biblioteczki Powszechnej warszawskiej spółki wydawniczej.“ 1) „Moje więzienie,“ — Silvia Pellico; 2) „Beatryx Cenci,“ — J. Słowackiego — i 3) „Raduz i Mahulena,“ — baśń słowiańska Juliusza Zeyera, w prześlicznym tłumaczeniu p. Władysława Nawrockiego. Wszystko jest piękne i pożyteczne — mam jednak do zarzucenia wydawnictwu grzeszków parę. Paginacya wstępów nie powinna się łączyć z dziełem samem. Wstępy tłumaczów, powinny być od tekstu oddzielone rzymską numeracją, efektowne zaś okładki książeczek grzeszą niedbałym naklejeniem, czego nieźleby było przy dalszych wydawnictwach uniknąć.

Kazimierz Gliński.

Jan Łada.

PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

III.

High-life na Korfu. — Arystokratyczna mania Greków. — Weneckie rodziny. — Cudzoziemska kolonia. — Konsul austriacki i turecka wiza pasportowa. — Charakter Korfiotów. — Niedokończony teatr. — Stroje mieszkańców. — Klasztor Platiterra i grób Capo d'Istria. — Okolice miasta. — Dzieci korfijskie. — Przedmieście Mandukio i zakład sierot. — Żydowska dzielnica. — Czemu Żydów niema w Grecyi? — Pałac i park Monrepos. — Kultura ziemi na wyspie. — Malarz ogrodnik. — Waleczność greckich oficerów. — Canone. — Pontikonisi. — *Yankee-Doodle* nad morzem Jońskim.

Wyższy świat na Korfu składa się z majątnych kupców i właścicieli ziemskich, między którymi pierwsze miejsce zajmują rodziwy weneckiego pochodzenia lub podszywające się pod nie. W Grecyi, podobnie jak w Norwegii, Konstytucya zniosła wszystkie tytuły, których co prawda w narodzie tym nigdy nie było: tem gorętszą jednak ma do nich każdy przeciętny Grek słabość. *Chassez le naturel, il revient en courant*: Grekowi, jak Amerykanowi nie bardziej nie imponuje od tytułu. Po ustąpieniu Wenecyan z różnych wysp Archipelagu i z Morei, pozostała tam pewna liczba rodzin katolickich, pochodzących z Włoch. Utworzyły one tam z czasem formalną arystokrację, rzeźbią i malują swoje herby na każdej beczulce wina i oliwy, na każdym pudełku fig i rachatlukum, jakie wysyłają w świat, a całe greckie społeczeństwo spogląda na te herby i ich właścicieli z największym uszanowaniem.

I wśród Korfiotów rodzin takich zachowało się dosyć, a więcej jeszcze stara się odrzucić końcówkę „s” ze swych nazwisk lub zmienić kończące je „aki” na „ani” byle móż powiedzieć, podnosząc głowę do góry: „My także pochodzimy z Wenecyi.” Niektóre z nich są katolickie: te jedne są istotnie i autentycznie weneckiego pochodzenia i, one też stanowią naprawdę czoło korfijskiego *High-Life'u*. Obok nich świeżo wzbogacone rodziny po części przybyłe z Kontynentu przewyższają je zazwyczaj majątkiem i obrotnością w interesach. Rzecz ciekawa, podczas gdy na całym adryatyckim pobrzeżu nie mniej jak i na całym Archipelagu ludność odznacza się sprytem, energią i zapobiegliwością, Korfioci są prosto ideałem niezaradności i lenistwa. Nie dziw też, że przemysł, handel i stan posiadania wysuwa się im z rąk coraz bardziej, przechodząc wręcz przybyszów. Kolonia cudzoziemska nie jest tu zbyt liczna, mnóstwo wprawdzie znajduje się Włochów, ale są to prawie sami wyrobownicy, których tłumy całe zalewają greckie wyspy i północną część Peloponezu. Maltańczyków, choć równie dość licznych, trudno uważać za cudzoziemców, przesiedlanie się ich bowiem na Korfu ustało od lat czterdziestu i ogromna ich większość tu się urodziła. Poza tem niezbyt wielka liczba francuzkich i belgijskich inżynierów i przemysłowców, trochę niemieckich i dalmatyńskich rzemieślników, dla których jednak mało

nastrecza pola zarobku wyspa, pozbawiona przemysłowego ruchu, wreszcie trochę Anglików, mających tu swe wille i spędzających wiosnę i jesień. O Polaków nie mogłem się dopytać. Jedno polskie nazwisko uderzyło mnie na tablicy mojego hotelu, nosiła je jednak Greczynka, zameżna za polskim emigrantem p. Lipińskim, zamieszkałym w Konstantynopolu.

Konsul austriacki, baron, którego nazwiska nie zanotowałem sobie niestety, jest niezmiernie dystygowanym i uprzejmym. Ponieważ nie pomyślałem o zaopatrzeniu się w pasport, a ten będzie mi w Turcyi i Serbii niezbędnym, baron bezwzględnie kazał mi go przygotować w kancelaryi, a tymczasem godzina zeszła mi z nim na bardzo miłej gawędzie o Włoszech i sztuce, na której znał się dobrze i umiał o niej mówić nie banalnie. Urzędnicy konsularni austriacy na całym Wschodzie mają charakter dyplomatyczny i wysokie uposażenie, są też ludźmi wysokiej nieraz inteligencji i często oddają poważne usługi nauce swemi badaniami a dla podróżnych z Austrii bywają bardzo grzeczni, udzielają im chętnych objaśnień i pomocy. Nie mogę niestety tego samego powiedzieć o niektórych agentach konsularnych na Zachodzie, gdzie zresztą tę godność zdają się nieraz piastować całkiem zwyczajni kupcy miejscowi.

Jeżeli będąc w austriackim konsulacie, miałem wrażenie, że się znajduję w jakimś przyjaznym, wykwintnym salonie, w Wiedniu, w chwilę później otoczył mnie autentyczny Wschód w konsulacie tureckim. W pokoiku z wejściem od ulicy z niskimi otomanami dokoła drzwi, siedział przy biurku opasły Turek, przy którym się kręciło dwóch innych. Nikt mi głową nie kiwnął w odpowiedzi na moje pozdrowienie, ani nawet nie mruknął. Wobec tego nie pozostało mi nic innego jak, obyczajem praktycznych Amerykanów nałożyć kapelusz na głowę i położywszy pasport na biurku przed piszącym grubasem, jak się okazało z wizy konsulem, zasiąść bez zaproszenia na otomanie. Nastąpiło długie milczenie, ponieważ zaś miałem w kieszeni otrzymany przed godziną z poczty gruby pakiet gazet, wyjąłem je i rozłożywszy szeroko zacząłem odczytywać jedną po drugiej. Konsul spojrział na mnie raz i drugi z pod krzaczastych brwi i miał zapewne wielką ochotę potraktować mnie porcją kijów w pięty; niestety, nie byliśmy w Turcyi, a i tam ochroniłaby moje pięty od takiego traktamentu protekcyja naszego konsulatku. Wobec tego nie pozostało p. konsulowi nic innego do czynienia, jak po kwadransie oczekiwania wziąć się do mego pasportu i rozpocząć ceremonię wizowania. Trwała ona dobry kwadrans i wszyscy trzej Turcy zajęli się przez ten czas wyłącznie moim pasportem. Patrząc na to, jak na najlepszą farsę; czegoś równie komicznego nie zdarzyło mi się bowiem w życiu widzieć. Konsul brał pasport, którego koniec w palcach przytrzymywał jeden sekretarz z pełną uszanowania miną, podczas gdy drugi przez stół przyglądał się operacyi z namaszczaniem i w skupieniu ducha. Konsul pióro językiem dotykał, i oddawał je sekretarzowi, który je zamoczył w atramencie, poczem po zrobieniu przez grubasa jakiegoś znaczka,

znów je z rąk jego odbierał, a jego towarzyszy równocześnie przysypywał piaskiem autograf szefa. Ten zaś znów brał pióro do ręki, lizał dawał do zamoczenia, robił jakiś nowy hieroglif i znów następowało przysypywanie piaskiem. Manipulacya ta powtórzyła się ze dwadzieścia razy, poczem nastąpiło wycieranie, oglądanie i lizanie pieczęci, jakby ta ostatnia powleczone była zamiast czarnej cieczy najsmakowitszą halwą, wreszcie uroczysty obrządek przybijania pieczęci. Jeden sekretarz podawał pieczęć konsulowi, ten ją raz jeszcze oglądał i silił, wyciągając szeroki i mięsisty język na pół łokcia, potem przybijał ją, a sekretarz z góry całą pięścią naciskał postępując. Nareszcie jeden z asystentów konsula, który sam nie uważał za odpowiednie swej godności odzywać się do tak podłego, jak ja stworzenia, zwrócił się do mnie z żądaniem uiszczenia taksy skandalicznie wysokiej. Zapłaciwszy z bólem serca, schwyciłem skwapliwie mój pasport, zaciekawiony, gdzie też pomieścić się mogło tyle pisania na niewielkiej przestrzeni białego papieru. Wyznałem, że zdziwiłem się niemało, zobaczywszy *summa summarum* parę wierszy tureckich gryzmołów i parę rozmaitych pieczęci i stemplów z francuzkimi napisami. I na zrobienie tej roboty, którą nawet w powolnem austriackim biurze załatwionoby w ciągu jednej minuty, trzech ludzi straciło tutaj 20 minut czasu. Drobnym rysikiem, ale charakterystycznym dla zrozumienia, czem jest Turcyja współczesna.

Wyszedłem nie pożegnany przez nikogo i szeregiem bocznych ulic dostałem się do placu kończącego miasto od strony lądu. Stała tu dawniej główna brama wchodowa, a po zburzeniu jej, kapitaliści miejscowi próbowali wznieść tutaj dla spekulacyi nową elegancką dzielnicę. Postawiono więc kilka obszernych domów i bardzo wspaniały teatr, zbyt wielki i kosztowny dla miasteczka, liczącego mniej niż 30,000 mieszkańców. Ale domy pozostały puste i niezamieszkałe, jak w nowych dzielnicach Neapolu lub Rzymu; innych nie miano czasu skończyć, dla innych wzniesiono tylko fundamenta rozsypujące się w gruzy podobnie, jak sąsiednie mury. Obok tych smutnych ruder teatr skończony w ogólnym zarysie, ale zupełnie niewykończony i oczywiście nie otwarty, zawalony dokoła gruzami i kamiennymi bryłami, od czterech lat nieruszanemi; za drugich lat cztery rozsypie się zapewne i on w ruiny. Kilku przechodniów, mówiących po włosku, opowiada mi historię tych nieudanych przedsięwzięć i byłego burmistrza Korfu, który zapragnął być hausmanem swego rodzinnego miasta, ale nie obliczywszy się z siłami zbankrutował sam i o bankructwo przypisał innych. Nieraz przedtem i potem zdarzyło mi się widzieć na Wschodzie tego rodzaju obrazki, gmachy rozpoczęte i od lat wielu niekończone, ilustracyę wymowną tutejszej próżności i niezaradności, a zarazem dowód, że w poezyi tylko dobrze jest mierzyć:

Sily na zamiary,

Nie zamiar podług sił.

Na ulicy ruch znaczny i różnaitość strojów nie taka jak w Turcyi, a nawet i w Atenach, ale przecież barwna i ciekawa. Miej-

scowa ludność męzka nie nosi specjalnego ubioru i wygląda mniej więcej tak samo, jak przeciętni wieśniacy z południowych Włoch, kobiety natomiast, zwłaszcza wiejskie wyglądają nieraz bardzo oryginalnie w szerokich białych zasłonach, nadających im zupełnie powierchowość katolickich zakonnic. Strojów wyszywanych i ozdobionych złotem, o których wspomina ks. Czerwiński w ciekawym opisie wysp Jońskich, nie spotkałem wcale u niewiast miejscowych: natomiast w szabas, zwłaszcza Żydówki, zamieszkujące osobną dzielnicę, ubierają się bardzo bogato i przystrajają malowniczo złotymi cekinami czoło i szyję. Dość często spotkać można szeroko odstającą, wykrochmaloną, w prążki, jak krenolina, białą fustanelę, ale tylko u Greków, przybyłych tu z kontynentu, miejscowa bowiem ludność nie używa tego wysoce malowniczego stroju podobnie jak i feza, który się spotyka również tylko u przybyszów ze Wschodu.

Często przemyka się wśród miejskich ulic epiński lub albański góral w ciemnej szacie i baraniej czapce z całym arsenałem u pasa i dzikiem posępnym spojrzeniem. Wiele też snuje się papasów, w czarnych, okrągłych kołpakach, albo kleryków w spiczastych myckach, podobnych do wschodnio-galicyskich papafijek. Wyglądają oni przeważnie nędźnie i brudno, uważając się widocznie sami za należących do najniższej warstwy społeczeństwa. Tu i owdzie jednak niektórzy robią wrażenie poważne, a ich długie brody i szerokie, powłóczęste szaty łatwo wrażenie to podnoszą.

Na końcu przedmieścia, za wysokim, białym murem, z poza którego zielenieją i szumią wierzchołki drzew obszernego ogrodu, wznosi się słynny klasztor Platiterra. Jak większość tutejszych klasztornych i kościelnych budynków przypomina on z zewnątrz katolickie budowle, dzięki zwłaszcza wysokiej, czworokątnej, zupełnie włoskiej dzwonicy. Wszedłszy jednak w dziedziniec, poprzedzający cerkiew, wrażenie się zmienia. Wszystkie prawie klasztory wschodnie, pozbawione są całkowicie monumentalnego charakteru większej części klasztorów katolickich. Są to przeważnie zbiorowiska niezbyt wielkich budynków, rozsypanych na obszernej przestrzeni dokoła znacznej ilości cerkwi i kaplic, a nie jednolite, potężne gmachy, połączone w harmonijny całości kształt dokoła kilku krużganków i wirydarzy. W Grecyi całej klasztory są niewielkie, ubogie i pozbawione specjalnego charakteru, cerkiewki zaś są przeważnie liliputowych rozmiarów. I w Platiterra świątynka wygląda jak niewielki, niski pokój, mogący pomieścić co najwyżej 50 osób. Ikonostaz nie przedstawia nic ciekawego, natomiast jeden z mnichów niemożliwie obszarpany, z bardzo brudnym, białym, płóciennym ubraniem dolnym, wyglądającym z pod zrudziałej rasy, z bosemi nogami, klapiącymi w szerokich pantoflach, prowadzi mnie poza cerkiew i pokazuje za skromny *bakczysz* w głębi klasztorne go korytarza parę płyt marmurowych, wmurowanych w posadzcę. To grobowiec bohatera wojny o niepodległość, hr. Capo d'Istria i jego rodziny. Biedny bohater! zasłużył za prawdę na lepszych stróżów dla swego grobu i milej by mu może było leżeć pod otwartym, zawsze tu tak przejrzystym lazuruwem

niebem, na jednym z tych przedziwnie pięknych, wiecznie zielonych cyplów górskich jego rodzinnej wyspy, wysoko ponad słonecznymi falami jońskiego morza, niż w tym ciastym, brudnym, dusznym zakątku klasztorne go krużganka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

W jednym z bogatych miast włoskich, gdzie stan kupiecki wstępował w fazę swej społecznej potęgi, podobną do tej, jaką we współczesnych miastach posiada dziś „haute finance,” stał na czele złotej młodzieży syn przedstawiciela wielkiej firmy handlowej i używał życia z całą werwą swej bujnej natury. Naraz wśród uciech i zbytku przypadł nań, jak burza, moment psychologiczny i wywołał życiowy punkt zwrotny, stwarzający nowego człowieka. W jednej prawie chwili impulsywna natura młodzieńca wyrzuciła z siebie wszystkie samolubne popędy, i przepaściła swą wrażliwość wypełniła po brzegi niezmierzonym współczuciem dla wszystkiego, co żyje, czuje i cierpi. Serce wielkiego tego miłośnika najbardziej wzruszały najcięższe moralne rany ludzkości: więc choroby swego wieku — szalał pychy, gorączkę zbytku, frenezję używania — postanowił leczyć elektryzując współczesne dusze wznowionym zapalem dla chrześcijańskich cnót pokory, zaparcia się i umartwienia. Postanowił przytłumić lub ograniczyć używanie bogactw, u biednych pragnienie bogactwa, postanowił w sercach ludzkich zdetronizować mamonę, a w miejscu czci złotego ciecia postawić poszanowanie najbardziej wówczas pogardzanego ubóstwa.

Ubóstwo — wyraz wstrętny haniebny, przerażający przez pyszną i leniwą naturę ludzką za największą ohydę i najcięższą nieszczęście poczytany stał się dla wielkiego reformatora duszy społecznej najśłodsze mianem jakby żywej istoty ukochanej i pożądanej, którą nazywał „swoją panią i królową.” U bosych nóg tej głodnej i obdarłej monarchini złoty młodzieniec radośnie zrzekł się dóbr, zaszczytów i uciech świata, a obłókszy się w gruby wór z szarego sukna powrozem przepasany, poprzysiął zostać żebrakiem. Rzecz dziwna — przykład tego heroicznego szaleństwa natychmiast pociągnął za sobą całe zastępy naśladowców. I ujrzeni ze zdumieniem dumni magnaci, nadęci dygnitarze, pogardliwi bogacze i wszelacy zbytkownicy ujrzeni pomiędzy sobą i dokoła siebie setki, tysiące takich ludzi, którzy im się stali żywym wyrzutem samolubstwa, żywym przykładem oderwania, żywym argumentem marności mamony a drogocенności tych dóbr idealnych, których posiadanie taką trwałą i niezmaconą radością opromieniało oblicza tych dobrowolnych nędzarzy.

I wnet nastąpił zwrot w pojęciach epoki. Otrząsnęły się umysły z jednego z najszkodliwszych w skutkach swych uprzedzeń, opinia powszechna przestała bogactwa uważać za największy zaszczyt, ubóstwo — za największą hańbę, a w następstwie tej rehabilitacji ubogiego Chrystusa, poczęła w chrześcijańskim społeczeństwie odzyskiwać należne uznanie zdegradowana przez przesady próżniaczej szewaleryi zacna szafarka dóbr sprawiedliwie zasłużonych — praca.

Ścisły komunizm był zasadniczym prawidłem zgromadzenia „Małych bractw” Franciszka z Assyżu. Idąc prosto wbrew namiętnemu przywiązaniu ludzkiej natury do osobistej własności, prawo zakonne wzbraniało Minorytom posiadania jednej nitki na sobie własnej, jednego kęsa chleba zapewnionego na dzień jutrzejszy. Kapitału, ziemi, dóbr jakichkolwiek żaden klasztor mieć nie mógł; każdy dom franciszkański musiał żyć z dnia na dzień na łasce Opatrzności; nie gromadząc żadnego zapasu wspólnego ani osobistego; kwesta musiała być zawsze jedynym źródłem utrzymania, a wynagrodzenie od społeczeństwa za oddawane mu duchowne i doczesne posługi musiał być przyjmowanem z pokorną wdzięcznością, tytułem dobrodziejstwa i jałmużny.

Gdy Franciszek zwany „Seraticim” od niezmiernego swego w Chrystusie rozmiłowania „bractw” swych rozsypał po Europie dla rugowania złotego ciecia z serc możnych baronów, chciwych minstreli, bogatych opatów, feudalnych biskupów i wszystkich miłośników a służebników mamony, w bogatym pałacu pod Assyżem rozpalila się jego przykładem dusza młodej dziewczyny.

Jak zawsze, gdy chodzi o jakąś wyższą ideę, jakąś akcję społeczną, stojącą po za zakresem specjalnie męzkim — wojowniczości — myśl przeciwdziałania zmateryalizowaniu średnio-wiecznego świata przez praktykę oderwania się od materyjalnej strony bytu zbudziła natychmiast głośnie echo w sercach kobiecych.

Zaledwo ośmnastoletnia, ale duchem już dojrzała Klara, stępując w ślady współziomka-reformatora, podjęła walkę z inną odmianą tegoż zła społecznego, — z próżnością niewieścią. Wypowiedziała wojnę klejnotom, pachnidłom, błyszczącym cackom i pstrym szmatkom, wszystkiemu, co niepomiarkowanie używane i nadmiernie cenione czyni kobietę niewolnicą drobnostkowej pychy i małostkowego zbytku, wbrew wrodzonej jej skłonności do skromnej prostoty i roztropnego oszczędzania. Prześladowana od swej rodziny za niezrozumiałe mrzonki, zmuszana do deptania po ścieżce ślimaczej, młoda dziewczyna zrywała śmiało pęta konwenansu, uciekała z domu, biegła do kościołka w Porciunkuli — i tam duszę swą kładzie u stóp Franciszka na służbę jego idei. Zakonodawca wnet bratnią duszą odczuwa — i z zaufaniem przyjmuje. Natychmiast obcina Klarze jej wspaniałe warokocze, wkłada na kosztowną suknię zgrzebną wór franciszkański, piękne oblicze grubym welonem przysłania i umieszcza ją najpierw w assyżskim klasztorze Benedyktynek, a następnie stwarza z nią razem w klasztorze przy kaplicy św. Damiana zgromadzenie zakonne Franciszkanek-Klarysek.

Nowe zgromadzenie odrazu staje się bardzo licznem. Młode panny z Assyżu i z okolicy, porwane ową jakby epidemią moralną, którą wybitne przykłady szerzyć zwykły, porzucają tłumnie dom, rodzinę, zabawy, stroje, radości życia i młodości nadzieje, rzekają się mienia i wiana, strzygą włosy, kładą szary habit sznurem przepasany — i ślubując dożywotni niedostatek, stają się z pań służebnicami, żywiącemi się z datków jałmużniczych.

Siła nowego prądu jest tak wielką, że porywa tych nawet, którzy go u źródeł jego najgwałtowniej tamowali. Rodzina Klary, która aż do fizycznego przymusu uciekała się była, aby przeszkodzić jej zamiarom, sama potem przechodzi z oburzenia do podziwu, aż kończy się na tem, że matka i siostra młodej ksieni przyjmują welon zakonny w jej klasztorze, powierzając dusze swoje duchownemu kierownictwu tej dziwnej panienki, której poważny, choć nie uczony rozum wkrótce zasłynął darem dobrej rady, a nawet proroctwa tak, iż sam papież Inocenty IV niejednokrotnie zasięgał jej zdania.

Z drobnego ziarenka — serca dziewicy — szybko urosło drzewo rozłożyste, i owocodajne.

Na równi z mężczyznami mnożyły się żeńskie klasztory reguły św. Franciszka. Już w tymże XIII-ym wieku było założonych około tysiąca żeńskich domów zakonnych, mieszczących kilkadziesiąt tysięcy mniszek, a najdoskońlej niebiańskie kobiety zstępowały ze stopni tronów w proch pokornej żebranki. Agnieszka, królowna czeska, fundatorka klasztoru w Pradze, Izabella, królowna francuzka — w Longchamps pod Paryżem i wiele, wiele innych wybitnych z różnych względów osobistości niewieścich, poszło śladami św. Klary, pokazując znieprawionemu światu, co może człowiek i co może kobieta.

Zgromadzenia zakonne powstawały zwykle z inicjatywy męskiej, później dopiero dana reguła mnichów zastosowywana bywała także dla mniszek; tak po Benedyktynach pojawiały się Benedyktynki, po Minorytach — Klaryski i t. p. Zdarzało się jednak, iż kobieta bywała bezpośrednią zakonodawczynią nowej reguły mniszek, a nawet — że tę regułę przyjmowali także mnisi. Fakt ten znamienity, wykazujący, jak dalece instytucja zakonów równouprawniała kobietę miał miejsce wkrótce po zakończeniu wojen Krzyżowych na dalekiej Północy, gdzie skandynawska kobieta jeszcze posiadała zasób owej śmiałej energii, jaką stare sagi pod postacią męnych Walkirii symbolizowały.

Brygitta, dostojna pani szwedzka z pokrewnej królewskiemu domowi rodziny, młodo poślubiona bogobojnemu księciu Ulfonowi, była wzorową żoną i troskliwą matką ośmiorga dzieci. Spełniwszy zadanie kobiety w rodzinie, nie oddała się wypoczynkowi, lecz zwróciła dojrzały umysł a niewyczerpaną jeszcze siłę ku szerszej działalności. Bolejąc nad ówczesnem położeniem Kościoła, nad obniżeniem powagi papieża, przeniesionych z Rzymu do Awinionu, i moralnem podupadaniem pewnej części duchowieństwa, podjęła pracę reformatorską, a mądrością i cnotą wyrobiła sobie taką powagę w Kościele, jakgdyby miała w nim urząd pasterski i nauczycielski. Poparta w opinii powszechnej nadprzyrodzonymi natchnie-

niami, które za objawiania się przez nią Boga Ducha uważano, karmiła ze śmiałością prorokini błędy i wady rozluźnionej hierarchii duchownej, do samych papieża zwracała się z napomnieniami, nawołując do przywrócenia tradycyjnej rezydencji papieżkiej w Rzymie, do wyzwolenia Kościoła z pod wpływów świeckiej polityki — i grożąc oznajmioną sobie z góry karą Bożą. Głos jej, zawsze przytem pełen pokory i uszanowania, brzmiał takiem namaszczeniem, że najwyżsi i najmędrsi poważnie się z nim rachowali; papież Urban V. ty kierował się jej radą, a prawomocność obioru Urbana VI-go jej świadectwem przed trybunałem kościelnym była popierana.

Pełna energicznej inicjatywy ta matrona w ojczyźnie swojej, w miejscowości Wadstena, ufundowała klasztor, z ustawą mającą całą ścisłość pierwotnych zgromadzeń zakonnych tego typu i wznosiła w nim praktykowaną niejednokrotnie aż do VIII-go wieku wspólność duchowego życia mniszek i mnichów. Klasztorna budowa była podwójną, ale wysoki mur rozdzielał dom sióstr od domu braci, którzy widywali się z sobą tylko w interesach duszy i mówić mogli jedynie o rzeczach duchownych. Przewodnictwo i kierownictwo należało naturalnie do mężczyzn, jako posiadających przywilej kapłaństwa, ale po za tem równość tak powinności, jak prawa była zupełna, a co więcej, przełożęństwo nad obu razem domami przynależało kobietom. Na piersiach opatki świecił krzyż złoty, znak jej wysokiej w kościele godności, a w rękę dzierżyła pastorał, symbol dyscyplinarnej władzy nad owieczkami i barankami podwładnego sobie klasztoru.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Zampa”. — Filharmonia: Koncerty Argiewiczówny i na szpital w Drewnicy; Popisy Yvetty Guilbert. — Nowości muzyczne.

Pragnąc zaznajomić nowsze pokolenia bywalców dawną twórczością operową, reżysera opery naszej od czasu do czasu, korzystając z gościny tego lub owego śpiewaka zagranicznego, wydobywa z pyłu zapomnienia jakieś dzieło, którem zachwycali się dziadkowie nasi, w nadziei, że i wnukom potrafi ono dostarczyć wrażeń przyjemnych i trwalszych. Niekiedy nadzieja owa zawodzi, jak to miało miejsce niedawno w „Napoju miłosnym” Donizettiego, wznowionym na benefis tenorzysty Anzelmiego; zarówno krytyka, jak i ogół słuchaczy zgodziły się jednomyślnie, że jest to opera pod każdym względem przestarzała, nie zdolna budzić wrażeń innych, oprócz znużenia i nieszczęsny „Napój” rychlej jeszcze powędrował z powrotem na półki biblioteczne, niż dostał się z nich na deski sceniczne. Niekiedy jednak przy takich wznowieniach udaje się natrafić na utwór taki, zalety którego oparły się skutecznie wpływowi czasu przemożnego i dziś jeszcze pozwalają wysłuchać go, jeżeli nie z uznaniem bezwzględnem, to przynajmniej z zaciekawieniem żywym i nie pozbawionem chwil zadowolenia rzetelnego. Do takich utworów należy właśnie wznowiona w tygodniu ubiegłym opera romantyczna trzyaktowa L. Herolda p. t. „Zampa.” Skomponowane przed siedmziesięciu kilkulety,

dzieło muzyka francuzkiego obiegło wówczas rychło wszystkie sceny europejskie, utrzymując się na repertuarze niektórych nawet przez bardzo długi przeciąg czasu, wszędzie zaś będąc przyjmowane z życzliwością i uznaniem niekłamaniem. To powodzenie opery dało nawet pohop francuzkim bibliografom i krytykom muzycznym z przed laty 50-ciu do orzeczenia, że jest ono arcydziełem, godnem postawienia go w jednym szeregu z pokrewnym treścią i tłem ogólnem „Don Juanem” Mozarta.

Dziś, naturalnie „Zampa” przedstawia się oczom naszym zgoła inaczej. Pochlebna ocenę krytyków współczesnych możemy objaśnić sobie jedynie pełną dozą gallickiego szowinizmu. Cenne dzieło Herolda zdobną istotnie nieposłednie zalety fantazyi, bujnej umiejętności wybitnej i dążności, jak na owe czasy, postępowych. Lecz poddając analizie krytycznej jego szczegóły, znajdziemy z łatwością pewne strony ujemne, które nie pozwalają nam uznawać w partycyi arcydzieła. Przedewszystkiem muzyka „Zampy” przedstawia wartość nierówną: obok aryi i wielospiewów wytwornie melodyjnych, rozwiniętych i doskonale stylizowanych, spotykają się nierzadko ustępy słabsze, banalne, pozbawione wyrazu i barwy. Nierówną okazuje się przytem i siła polotu, dopisująca autorowi jedynie w obrazach rodzajowych i romantyczno-lirycznych, oraz w barwach, użytych do scharakteryzowania pierwiastku fantastycznego, gdy natomiast sceny uczuciowo dramatyczne traktowane są dość konwencyonalnie, a przez to nie mają potrzebnego wyrazu i akcentów energicznych. Nierówności wreszcie dają się zauważyć i w harmonizacji, wogóle gładkiej, śmiałej i dowcipnej, chwilami jednak prostej aż do naiwności i ubogiej, jak gdyby wyszła z pod pióra muzyka początkującego.

Dalej, co się tyczy oryginalności inwencji, to i w tej mierze dałoby się coś powiedzieć, niezupełnie na korzyść opery. Niektóre melodie mają rzeczywiście pewne zarysy odrębności indywidualnej, czy to w rysunku tematów, czy w zabarwieniu nastrojowem; często jednak napotkać można motywy nader żywo przypominające pomysły innych kompozytorów, których wpływem Herold bezsprzecznie ulegał, jak: Auber, Rossini, Cherubini, a nade wszystko Mozart.

Gdy do powyższego dodamy nadto, że wobec tegoczesnych wymagań i potężnego rozwoju techniki kompozytorskiej „Zampa” przedstawia się pod względem sposobów i środków, użytych przez autora dla urzeczywistnienia pomysłów swoich, dość ubogo, że dla naszych roznamiętnionych uszu porządnie już trąci myszką, dziwić się nie można, że skala tego uznania, jakim darzyli dzieło Herolda współcześni, musiała uleść obecnie znacznemu obniżeniu. Utwór Herolda dzisiejszego słuchacza już nie porywa, nie zachwyca, nie przyspiesza tętna jego serca, wszelako pozwala się wysłuchać jeszcze z przyjemnością prawdziwą dla wykwiśności stylu i form, oraz melodyjności jego muzyki. Melodyjność ta, naturalna i przystępna, płynie w operze strumieniem szerokim i wartkim, ujmuje szlachetnością linii, lekkością i werwą rytmiczną, pełna jest wdzięku niewymuszonego i wytworności estetycznej; ona też głównie sprawia, że dzieło po dziś dzień nie utraciło jeszcze znaczenia utworu wartościowego, i — co za tem idzie, przymiotu żywotności. „Zampę” przygotowano pod względem muzycznym ze sporym nakładem pracy starannej i sumiennej. Odbiło się to korzystnie na całości przedstawienia, które pod energiczną batutą p. Podestiego odznacza się składnością i gładkością przebiegu, a zgodnością wszystkich czynników wykonawczych. Role główne powierzono trojgu goszczącemu obecnie artystom zagranicznym: Battistiniemu, sopranistce Cori i tenorzyście Barrera. O pierwszym roz-

pisywać się nie będziemy; zbyt dobrze znane są czytelnikom naszym przymioty wokalne i artystyczne znakomitego barytonisty, które w interpretacji przezeń partyty tytułowej zajaśniały znów blaskiem zwykłym i pierwszorzędnym. Co się tyczy pozostałych dwojga śpiewaków, to zarówno p. Corsi sopranistka, obdarzona głosem dźwięcznym i wyszkolonym, lecz nie ujawniająca żadnych zgłębiając talentu wybitnego, jak i p. Barrera, jeden z najbardziej szablonowych tenorzystów, jakich wogóle scena nasza kiedykolwiek gościła, wrażeń dodatkowych w kreowanych przez siebie partyach wyrzeźbić nie zdołała.

Przechodząc następnie do spraw Filharmonii, zaznaczyć musimy, że nigdy jeszcze nie były w nią tak ciężkie gromy, jak w okresie sprawozdawczym. Zamknięcie podwoi przez tydzień z przyczyn niezależnych, zawód, jaki zrobiło dyrekcji kilka pierwszorzędnych sił artystycznych, między innymi takie, jak Paderewski i Kubelik, ogólny stan zdenerwowania warstw szerszych, mniej ochotnych przez to do słuchania muzyki, przesilenie ekonomiczne, jakie przeżywamy obecnie, — wszystko to zważyło się od razu na barki młodej naszej instytucji muzycznej. Nie opuściła jednak rąk i nie ugięła się pod tem brzemieniem, a kroczy wciąż wytrwale po drodze wytkniętej i podług programu zamierzonego, zapatrzona w cel szczytny szerzenia kultury, której tak bardzo potrzeba. Koncerty popularne przeplatają wieczory dla młodzieży i poranki dla dzieci, wieczory filharmoniczne rywalizują z wieczorami kompozytorskimi, wieczory rodzinne przyczyniają się skutecznie do rozwoju życia towarzysko-rodzinnego, nie brak i pogadanek pouczających (Noskowskiego, Weryho i Tołwińskiego) i poranków kwartetowych, i turniejów solistów, i piosenki i t. d., — słowem, wszystko się robi, i to dobrze robi, aby maszyna nie ustała w pracy owocnej, a potrzebnej. Naturalnie o wszystkich tych koncertach i wieczorach rozwodzić się szerzej niepodobna; ograniczymy się jedynie na stwierdzeniu, że powiodły się one wszystkie pod względem artystycznym wybornie, a niektóre nawet wprost świetnie. Do tych ostatnich zaliczamy te, w których udział, jako soliści przyjmowali tacy skrzypkowie, jak Barcewicz i Marteau, pianiści, jak: Śliwiński, Pugno, Michałowski, Jaczynowska i wiolonczelista Klengel.

Nieznanym dzieł kompozytorów obcych w tym czasie dano nam poznać niewiele, ale za to wszystkie prawie o wartości pierwszorzędnej. Na szczególną uwagę z pośród nich zasługują: symfonia Sindinga i poemat Björnsena-Björnstjerne p. t.: „Bergliota“, ilustrowany przedziwnie muzyką Griega.

Z utworów swoich usłyszeliśmy nową symfonię członka orkiestry Filharmonii pana Fitelberga, zaszczytnie już znanego w naszym świecie muzycznym z prac poprzednich. W pracach rzeczonych stwierdziliśmy niejednokrotnie obecność oznak talentu niewątpliwego i dużego ich twórcy. W symfonii omawianej oznaki te uwydatniają się jeszcze wyraźniej, co dowodzi, że talent p. Fitelberga rozwija się prawidłowo i krystalizuje coraz bardziej. Praca młodego muzyka posiada przedewszystkiem cenny przymiot przejrzystości jasnej, w wykończeniu szczegółów, zaletę, czyniącą muzykę jego przystępną i łatwą zrozumiałą. Po za tem podnieść w niej należy: świeżość melodyi, płynność formy, nade wszystko zaś wielką obfitość świetnych pomysłów harmoniczych i instrumentacyjnych.

Z innych koncertów w okresie sprawozdawczym na wzmiankę zasługują koncerty: Ivetty Guilbert, Eugenii Argiewiczówny i na dochód szpitala dla obłąkanych w Drewnicy; na tym ostatnim wystąpił niedawno zorganizowany chór amatorski, złożony przeważnie z solistów, z pomiędzy których wielu zdołało już wyrobić sobie miejsce poczesne w szere-

gu najlepszych naszych śpiewaków estradowych. Zdobna w taki materiał drużyna śpiewacza, przedstawiła się zarówno pod względem piękności, brzmienia całego zespołu, jak i artyzmu wykonawczego, jako czynnik artystyczny pierwszorzędny, mogący przy dalszej pracy wytrwałej i zgodnej odegrać rolę bardzo ważną w życiu muzycznym grodu naszego.

Co się tyczy koncertów panny Argiewiczówny i Ivetty Guilbert, to stwierdzić musimy, że o ile pierwsza grą swoją skrzypcową, technicznie dokładną i duchowo zrównoważoną wywarła na słuchaczach wiele wrażeń dodatnich, o tyle druga, niegdyś być może znakomita szansonistka, obecnie zaś pozbawiona głosu i wdzięku „opowiadaczka“, wrażeń tych wznieść nie zdołała. Nierównie więcej zainteresowały ogół słuchający popisy niektórych członków stowarzyszenia gry na instrumentach, obecnie już wyszłych z użycia, jak clavecin, viola d'amore, viola di gamba, kontrabas o trzech strunach, i t. d., z którymi stojąca już u schyłku kariery szansonistka odbywa tournée artystyczne.

Nowości muzyczne do zanotowania mamy niewiele, prawie wszystkie przytem z uwagi na charakter karnawałowy chwili należą do dziedziny muzyki tanecznej. Z wydawnictw firmy Gebethnera i Wolffa na wyróżnienie zasługują eleganckie i zgrabne walce: „Cousin Kate“ Benedixa, „Chaine des Roses“ Richardyego, „Valse Printanière“, — Margis'a i „La faute des Roses“, — Bergera. Nakładem firmy Borkowskiego wyszły walce: „Boston“, — Galimbertiego, „Dagny“, — oryginalnego kompozytora finlandzkiego, Merikanto i zreczenie ułożony przez T. Kossowskiego wale z popularnych operetek „Młodzieniec 114-letni“, i „Świat na opak.“ Firma Fiszera wystąpiła z melodyjnym walcem Romana Wiśnickiego p. t.: „Filharmonia Warszawska“, Kassa zaś przezorności i pomocy pomocników księgarskich — z dziarskim mazurem Pionowskiego p. t. „Dziedzic“, i skoczną Polką Ziehrera p. t. „Pensjonareczka.“ Z innych wydawnictw tejże Kassy pojawiło się: kilka numerów do śpiewu z cyklu „Cudne dźwięki“, (bardzo ładna i wdzięczna serenada Quaranty i elegancja piosenka Hahna, p. t. „Marzenia“ — oba utwory na głos mezo-sopranowy), pięć numerów z cyklu „Deklamator salonowy“, obejmującego wybór deklamacji z towarzyszeniem fortepianu, wreszcie Kassa, co się jej bardzo chwali, przystąpiła do wydawnictwa arcydzieł muzyki historycznej.

„Nowości muzyczne“ w kilku zeszytach ostatnich dały, jak zawsze, szereg okazałych utworów beletrystycznych, na fortepian. Z których wyróżniają się: przepysznie opiewana i szlachetna w nastroju „Kołysanka“, — prof. Michałowskiego, i utwór salonowy Scharwenki p. t. „Marzenia.“

St. Dziadulewicz.



Wystawa Maryańska.



Przed paroma tygodniami zawahały się losy wystawy Maryańskiej: rzucone mianowicie było pytanie, czy dla wielu względów nie należałoby odłożyć terminu jej otwarcia do miesięcy jesiennych r. b.? Na ogólnem jednakże posiedzeniu członków Komitetu zdecydowano, żeby utrzymać w dawnej swej sile termin poprzednio oznaczony, t. j. miesiące Maj i Czerwiec. Na rzeczne postanowienie wpłynęło kilka bardzo poważnych powodów, a przytem Maj, to przecież miesiąc Maryi, najbardziej więc odpowiada on celom samej Wystawy,

mającej być hołdem publicznym, przez nas złożonym Bogarodzicy, dla uczczenia pamięci zeszlórocznego jubileusza.

Trzy miesiące upływa od chwili zawiązania się Komitetu wystawowego. Przez czas ten, dzięki opiece i poparciu projektowanej Wystawy Maryańskiej ze strony Najdostojszych Pasterzy naszych dyecezyi, coraz szersze koła miłośników sztuki religijnej interesować się zaczęły sprawą Wystawy, oświadczając gotowość swą czynnego jej poparcia. Przedewszystkiem członkowie-delegaci dyecezyalni chętnie zajęli się zorganizowaniem po kościołach przedmiotów odpowiednich na Wystawę; od posiadaczy zaś większych i mniejszych zbiorów prywatnych coraz liczniej nadchodzić zaczęły deklaracje z wymienieniem różnego rodzaju posiadanych pamiątek, nie raz bardzo rzadkich i cennych, zaofiarowanych na Wystawę.

Do obecnej chwili deklaracji takich otrzymaliśmy już sto kilkadziesiąt, wiele z nich wyszczególnia po kilkanaście, a często i więcej przedmiotów, złączonych ze czcią Bogarodzicy, od kilku również członków-delegatów nadeszła wiadomość, iż mają nadzieję zebranie u siebie z kościołów dyecezyi sporą ilość odpowiednich na Wystawę dzieł sztuki i zabytków z przeszłości. Spodziewać się zatem należy, iż Wystawa zgromadzi z różnych stron kraju bardzo wiele dzieł pamiątkowych i cennych, które stanowić będą widomy hołd twórczości i pobożności chrześcijańskiej, skierowanej ku uczczeniu Niebios Królowej!

Powoli napływać już zaczynają do kancelarii Komitetu uprzednio zadeklarowane przedmioty, o których, w miarę kwalifikowania ich na Wystawę przez rzeczoznawców, podawać będziemy do wiadomości publicznej właściwe sprawozdania.

W ubiegłym miesiącu Komitet nasz odbył parokrotne narady, pod przewodnictwem JE. ks. biskupa Ruszkiewicza, omawiając sprawę kilka, dotyczących wewnętrznej organizacji Wystawy. Pomiędzy innymi zaakceptowano przyjęcie kilku nadesłanych do Komitetu ofert, a mianowicie:

Zakład artystyczny witraży p. Białkowskiego ofiarował się wykonać specjalnie na Wystawę ozdobny witraż, przeznaczając go jako dar dla przyszłej świątyni Niep. Początku N. M. P. Szkic rysunkowy tego witrażu przedstawiony był Najdostojniejszemu Arcypasterzowi i uzyskał Jego pochwałę i aprobatę. Również ozdobny witraż, zastosowany do Wystawy, wykonać ma zakład artystyczny pana Skibińskiego. Zaakceptowano także ofertę właścicieli zakładu fotograficznego, p. Golezówny, mającej zamiar podjąć wydawnictwo zeszytowe artystycznych reprodukcji przedmiotów celniejszych, jakie się znajdują na Wystawie. Przyjęto również ofertę wydania *ex re* Wystawy brązowego medalu, pamiątkowych medalików i obrazków. Część dochodu z rozprzedaży tych przedmiotów przeznaczoną została, przez składających ofertę, na rzecz przyszłej świątyni.

W sprawie wydania katalogu rozmówiano o Wystawie odbyło się w dniu 26-ym z. m., w bibliotece ordynacji hr. Krasińskich, specjalne posiedzenie Sekcji bibliograficznej Komitetu, na którym przewodniczył J. E. ks. biskup Ruszkiewicz. Opracowania katalogu podjął się p. Franciszek Pułaski, według ułożonego przezeń planu, zamierzona praca ma odzwierciedlić część naszą dla Bogarodzicy: w kościele, w narodzie, wreszcie w sztuce i poezji. Plan cały opracowania katalogu uzyskał ogólną aprobatę członków Sekcji bibliograficznej, z których kilka ofiarowało czynną swą pomoc w podjętej pracy.

Dotychczasową liczbę członków-delegatów dyecezyalnych powiększył obecnie ks. kanonik Kierpowski z Kowna, niedawno mianowany przez J. E. ks. biskupa Pallulona delegatem komitetu na dyecezę Żmujdzką. Nie-

wątpliwie, szanowny delegat z równą, jak i inni gorliwością, przystąpi do powierzonego mu dzieła i nadeszłe cenniejsze ze Żmujdzi przedmioty, nadające się na Wystawę Maryańską. Jest również nadzieja, iż także z Księstwa Poznańskiego i Galicji nadejdzie pewna ilość przedmiotów na Wystawę. P. Bartyński z Krakowa, redaktor „Sodalisa”, ofiarował uprzejmie usługi swe pośrednictwa w przesłaniu do Komitetu wszystkich przedmiotów, jakie tam będą zaofiarowane na naszą Wystawę.

Ponieważ prezes Komitetu, J. E. ks. biskup Ruszkiewicz zmuszony był wyjechać na kilkotygodniową kurację zagranicę, naczelną więc opiekę nad sprawami Wystawy przyjął łaskawie Najdostojniejszy nasz Arcypasterz, który żywo interesuje się nią i każe o wszystkim, co jej dotyczy, zdawać sobie szczegółowo relacje.

Pomiędzy innemi J. E. ks. Arcybiskup niedawno wyraził zezwolenie swe na uczestnictwo projektu jednego z członków-delegatów, aby podczas trwania Wystawy w pewnych godzinach dnia na sali wystawowej odbywać się mogły koncerty religijne. W tym celu umieszczone będą na sali wystawowej większych rozmiarów organy. Z pewnością znajdą się też chętni wśród grona naszych muzyków, którzy nie odmówią swego udziału w projektowanych koncertach.

Wszelakich wyjaśnień w sprawie Wystawy Maryańskiej udziela osobom interesowanym kancelarya Komitetu wystawowego, mieszcząca się w domu J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza, przy ul. Krakowskie-Przedmieście № 1. Kancelarya od dnia 1-go b. m. otwartą jest codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godziny 10-ej rano do 2-ej po południu i od 5-ej do 6-ej wieczorem.

Ks. H. Skimborowicz,
Sekretarz Komitetu.



Z sali odczytów.



Doroczną seryę odczytów na rzecz Osad Rolnych rozpoczął p. Walery Gostomski w d. 13 b. m., w sali Ratuszowej, przed licznie zgromadzoną publicznością.

Za treść do swego odczytu, zatytułowanego „Wielka zagadka myśli współczesnej” obrał prelegent Nietzche’go i jego dzieło: „Tak rzekł Zarathustra”. — Przedmiot nadzwyczaj zajmujący, opracowany barwnie, z wysokim literackim artyzmem, nadto, wypowiedziany pięknie, pobudzał słuchaczy do żywego zajęcia i uważnego wnikania w myśl prelegenta.

Nawskroś oryginalna, wzbijająca się ponad tłumy indywidualność Nietzche’go znalazła w osobie pana Gostomskiego rzecznika, umiającego z prawdziwym umiłowaniem przedmiotu wykazać siłę talentu autora „Zarathustry”, którego jedni podnoszą do apogeum filozoficznej chwały, inni poprostu nazywają: „chorobliwym zjawiskiem”, „anarchią duchową” czy „chwałcą samolubstwa”. W opracowaniu i zrozumieniu p. Gostomskiego, które oddziaływało na słuchaczy siłą rzetelnego, głębokiego przekonania, Nietzche jest filozofem — poetą, bardziej poetą niż filozofem, odczuwającym z niezgłębioną mocą bóle ludzkości, poemat zaś jego: „Tak mówił Zarathustra” jest genialną, pełną przejmującej tragiki satyrą zwyrodniałego społeczeństwa, dziełem niezrównanym pod względem formy.

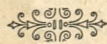
Prelegent szczegółowo rozbił treść wstępu i czterech części poematu i w godzinnym wykładzie umiał objąć charakterystykę

twórczości Nietzche’go, oraz stronę myślową i artystyczną Zarathustry.

Nadezłowiek, to ideał abstrakcyjny, zrodzony w duszy wielkiego poety, przeciwstawienie obecnym dążeniom materialistycznym, w których ludzie karłowacieją i coraz bardziej wyzuwają się potrzeb duchowych.

W Nietzchem przedewszystkiem jest olbrzymie umiłowanie szczytów i równa temu pogarda dla nizin.

Zofia S.



Z listów do „Bluszczu.”



Z Krakowa, Luty—Marzec.

Kreśląc obraz życia krakowskiego, nie podobna pomijać kolejno po sobie następujących, a częstokroć równocześnie otwieranych wystaw.

Mamy ich tu nie mało, dla wszelakich gustów, usposobień i poziomów umysłowych, poczynając od zawodowych i rzemieślniczych, aż do subtelnych wykwitów sztuki nowożytnej.

Pośredniczące niejako między temi dwiema ostatecznościami miejsce, zajęła wystawa „drukarska”, której tytuł, nie pociągający może dla ogółu, pokrywał ciekawe i estetycznie dla oka urządzone zbiory. Obok więc dawnych druków o misternych inicjałach, starannie wykonanych sztychach i drzeworytach, kunsztownych oprawach i klamrach, ułożono całe szeregi nowożytnych książek i książeczek, przyozdobionych barwnie i gustownie z całą wytwornością, na jaką zdobyć się może t. zw. „sztuka stosowana”. Umiejętnie zużytkowane motywy ludowe zdobią tu okładki książek, tytułowe karty pism ilustrowanych, a nawet ogłoszenia sklepowe najprozaiczniejszych przedmiotów, nie mówiąc już o afiszach najrozmaitszych, ex-librisach i t. p.

Nie wdając się tu w szczegóły, stwierdzić tylko możemy, że całość robiła wrażenie artystyczne prawdziwie; nagromadzone zaś wyroby drukarskie obcych krajów (z Japonii, Belgii, Anglii, Francji, Niemiec, Ameryki itd.), dowiodły, że nie potrzebujemy się wstydić naszej w tej dziedzinie wytwórczości. Czytelniczki „Bluszczu” mogłyby tu z przyjemnością powitać firmę P. Laskauera i Sp., obok wielu innych.

Od pięknostkich ilustracji zebranych na wystawie drukarskiej, przechodziło się z rozkoszą do pałacu Sztuki, gdzie znów dział graficzny daje poznać, do jakiego stopnia doskonałości doprowadzano w ostatnich czasach wszelkie rodzaje reprodukcji. Prawda, że obecnie, jak i dawniej w średnich wiekach, najznakomitsi mistrze pędzla nie gardzą rylcem i piórkiem, aby na kamieniu lub metalu utrwać z niezmierną subtelnością klisze, dostarczające lubownikom artystycznych reprodukcji z dzieł własnych. Kolorowe akwaforty, — to jedna z najnowszych zdobyczy tej sztuki, która uprzystępnia szerszemu ogółowi nabywanie prawdziwych arcydzieł rozmaitemi określonych nazwami, jak rozmaita jest technika ich wykonawców. Oprócz działu graficznego, interesują na wystawie krajobrazy i przesłiczne kwiaty (anemony) Wyczółkowski, kilka „Fałatów” i salka wypełniona czarnymi, niesłychanie dziwaczными i fantastycznie symbolicznymi obrazkami Kubina z Monachium.

Tyle z dziedziny estetyki, tak rozległe zajmujące miejsce w kulturze starego Krakowa. Zacny staruszek podąża rzeźkim krokiem w ślady nowożytnego postępu, staczając je-

dnak po drodze walki ze zbyt krańcowymi przedstawicielami tegoż.

Od czasu do czasu ożywia się też polemika o Wawel, w którym jedni chcieliby pomieścić wyłącznie rezydencję cesarską, inni zaś bardzo słusznie pragną w ogromnym tym gmachu, a przynajmniej w części jego urządzić Muzeum pamiątek narodowych.

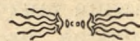
Łącząc się z prądami, wybuchającymi z mniejszą lub większą siłą w różnych stronach świata, zajmujemy się i my także reformą wychowania młodzieży, pozostawiającej tak wiele do życzenia w całym świecie tegoż. Ku końcowi ubiegłego roku pojawił się w Krakowie (dwa zeszyty razem, tworzące grubą księgę), organ p. t. „Reforma szkolna”, pod redakcją Adama Szymańskiego (znanego autora „Szkiców z Syberyi”). W szeregu artykułów oryginalnych i tłomaczonych, niektóre wyróżniają się swadą i talentem pisarskim, np. świetny artykuł Witkiewicza o nauczaniu religii w szkołach. M. Hornowska zebrała sumiennie i pracowicie system wykładu tegoż przedmiotu przez dawną Komissję Edukacyjną wprowadzony. Szymański wysławia „najlepszy elementarz świata” (t. j. Promyka) i t. d., i t. d.

Nad wychowaniem również zastanawia się stowarzyszenie „Matek Chrześcijańskich”, urządzając szereg odczytów w tym przedmiocie. Hr. Jadwiga Rostworowska, Z. Münichowa („Co nam przyszkadza w wychowaniu”), prof. Milewski („Budżet domowy”), Jordan, Sikorska przemawiają tam kolejno.

W innym znów, niejednokrotnie przez nas wspominanem stowarzyszeniu „Niewiast katolickich”, zawiązało się kółko dla studyowania problematów socjalnych, zgromadzając się co dwa tygodnie dla referatów i wynikającej ztąd dyskusji, podczas gdy inna gałąź związku wprowadza w czyn piękne teorie, zakładając tanie kuchnie, związki zarobkowe, ułatwiając pożyczki robotnikom i t. p.

Zwolna, ale stale, zwracamy się do przemysłu miejscowego, rugując wyroby zagraniczne o ile się da, aby je zastąpić wytworami rodzimego gustu. Zdobnictwo zwłaszcza, coraz bardziej na ludowych i swojskich opiera się motywach, wkraczając w rozmaite szczegóły życia i otoczenia domowego. Wspomniałm tego przykładem jest świeżo wykonany dom Towarzystwa lekarskiego, którego wnętrze urządzone wytwornie pod kierunkiem Wyspiańskiego, wplatającego, jak zwykle, barwy i blaski swej poetyckiej fantazyi w misterne zakręty ludowych motywów, w kształty ojczystych kwiatów i roślin.

M. Świd.



Kronika działalności kobiecej.



— Z Kassy kobiet.

W Niedzielę, t. j. dnia 12-go b. m., w sali Towarzystwa Wioślarskiego odbyło się ogólne zebranie Kassy samopomocy dla kobiet pracujących.

Stosownie do przyjętego porządku dziennego, odczytano sprawozdanie z działalności Kassy za rok ubiegły i sprawozdanie komisji rewizyjnej. Późem zatwierdzono budżet na rok bieżący i wysłuchano wniosków komitetu, dążących do uzupełnienia i poprawienia ustawy, które jednogłośnie szczerem uznaniem przyjęto. Wśród wniosków tych, dwa zwłaszcza są dla dalszego rozwoju instytucji nader ważne, a mianowicie: rozłożenie, spłaty pożyczek na rok, nie zaś jak dotychczas było, na pół roku i zatwierdzenie przez władzę pozwolenia na dział rekomendacyi i wyszukiwania pracy.

Sprawa letniska, około której komitet Kassy zakrzętnął się z tak szczerą gorliwością, że wkrótce już przewidywać można z tego jak najpomyślniejsze dla uczestniczek Kassy wyniki, nader sympatycznie i z żywym zadowoleniem przez zebrane uczestniczki przyjęta została.

Po obradach dokonano wyborów, które powołały do składu zarządu, w miejsce ustępujących 6-ciu członkiń panie: Zofię Seidlerową, Jadwigę Golczównę, Edę br. Kąsinowską, Maryę Orłowską i Zofię Śliczniakowską ponownie — oraz panie: hr. Łubieńską (prezesowa) i Kalinowską.

Do komisji rewizyjnej; na miejsce wychodzącego p. Bogusława Hersego, p. Henryka Radziszewskiego, oraz panie: Annę Lothową (ponownie) i Michalinę Zawadzką.

P. Hersego wybrano na członka honorowego Kassy.

— Zurych. „Kiedy dziewczyny powinny za mąż wychodzić?” Pod powyższym tytułem ukazała się rozprawa Zurychskich lekarzy, oparta na ich lekarskim doświadczeniu, nie tylko z punktu widzenia etycznego, moralnego i ekonomicznego, lecz przede wszystkim jako przyczynek do stanu ogólnej zdrowotności współczesnego pokolenia.

Gdyby urząd lekarski mógł ustanowić prawo określające wiek dziewcząt, wychodzących za mąż, zabroniłby im stanowczo wstępować w związki małżeńskie przed ukończeniem lat 20-stu.

W obecnych warunkach naszego życia i w naszym klimacie jeszcze i w 20-ym roku życia organizm kobiety nie osiąga ostatecznego swego rozwoju. Silnie rozwiniętą skłonność do anemii, chorób płucnych i wielu innych chronicznych cierpień i osłabień, przedwczesne tak fizyczne jak i duchowne starzenie się znacznej liczby kobiet, jak i rodzenie dzieci wątłych, wadliwie rozwiniętych, w dużej części przypisać należy zbyt wczesnemu wychodzeniu za mąż kobiet dzisiejszych.

Równie ważne obserwacje i uwagi w tym kierunku zebrał doktor Beyer, specjalista od chorób nerwowych, na tle uprawianej przez siebie specjalności. Według doktora Beyera przedwczesne wychodzenie za mąż bywa nie rzadko przyczyną ciężkich wypadków chorób nerwowych. Niestety, istnieje dość nawet utarte mniemanie, że wyjście za mąż jest środkiem leczniczym w wielu chorobliwych wypadkach, zwłaszcza w wypadkach chorób nerwowych. Małżeństwo przynosi z sobą nowe warunki fizycznej i moralnej natury i tych tak lekko obiecać nie wolno.

Doktor Beyer czyni spostrzeżenie, że umysłowe i ciężkie nerwowe choroby najlicześciej przypadają u kobiet w 20-ym roku, czyli zgadza się w zupełności z Zurychskimi lekarzami, że rok 20-ty uważać należy jako okres koniecznej kwarantanny i że po 20-u latach oopiero dziewczyna przyjmować na siebie powinna obowiązki żony.

— Stockholm. Nadzwyczaj pożyteczne i dzielne Stowarzyszenie kobiece, znane pod nazwą: „Frederike-Bremer-Bund,” święciło niedawno 20-lecie swego istnienia. Zostało ono założone przez baronową Zofię Adlersparre i ma na celu podniesienie poziomu szwedzkich kobiet tak pod względem moralnym, jak i umysłowym, socyalnym i ekonomicznym. Ponieważ były to cele, do których śmiało dążyła znana szwedzka autorka, Frederika Bremer, stowarzyszenie otrzymało nazwę od jej nazwiska. Stowarzyszenie podzielone na bardzo liczne, różne specjalne wydziały, jest rzeczywiście w stanie rozwinąć bardzo szeroką, różnorodną działalność i tak np. w ciągu dwóch lat ostatnich wypłacono 45,000 koron jako stypendya uniwersyteckie, i koszty podróży, przedsięwziętych bądź to w celach naukowych, bądź objęcia jakiegoś zajęcia. Prawie równie tyle wyniosły zapomogi na doktorów i lekarstwa. Nadto przy Stowarzyszeniu otwarte zostało biuro rekomendacji

pracy, oraz w biurze tym prawnicy udzielają bezpłatnie porad uczestniczkom Kassy.

Z. S.

Kroniczka.

— Przy Domu wychowawczym Dzieciątka Jezus utworzono szkołę dwuklasową dla podrztutków.

— W mieście naszym powstał projekt blizki urzędu wistnienia — utworzenia kursów pocztowo-telegraficznych dla kobiet. Jeden z pedagogów stara się o pozwolenie i zatwierdzenie władzy.

— Dnia 14-go b. m. w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa odbył się pierwszy odczyt z seryi 14-tu abonamentowych z działu: Optyka na usługach astronomii, wygłoszony przez p. Stanisława Kalinowskiego: „O widmie i barwach“ (część I-sza) z doświadczeniami. Część druga tejże pogadanki (o barwach) odbędzie się dnia 21-go b. m. Wszystkie odczyty będą ilustrowane obrazami niknącymi. Ceny miejsc numerowanych od kop. 10 do rubla. Abonament z ustępstwem 20% od cen.

— W Żbikowie pod Pruszkowem przy kolejowej szkole początkowej założono szkołę rękodzielniczo-gospodarczą dla dziewcząt, wyłącznie dla córek służby kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Kurs nauki roczny. Program wykładów obejmuje dwa działy: I-szy, kurs robót: krój i szycie bielizny, krawieczynę damską, haft ręczny i maszynowy; dział II-gi, gospodarczy: zajęcia w kuchni, gotowanie, roboty i porządki domowe, na wiosnę i w jesieni zajęcia w ogrodzie warzywnym, w miesiącach zimowych nauka prowadzenia ksiąg rachunkowych. Uczennice przyjmowane są od lat 15-tu — na początek uczęszcza 20. Nauka jest bezpłatna, szkoła bowiem utrzymywana jest kosztem kolei. Nadto dziewczęta otrzymują obiady, przygotowane w kuchni szkolnej. Kierowniczką w dziale robót jest p. Januszewska, kurs gospodarstwa domowego prowadzi pani Holyniec.

— W Kruszynku pod Włocławkiem powstaje szkoła dla dziewcząt wiejskich, w której udzielane będą: nauka kroju i szycia, wyrób pończoch, plecionek, kapeluszy, wyroby tkackie, fabrykacja przetworów owocowych. Szkoła mieścić się będzie w domu murowanym, otoczonym przylegającym 5-cio-morgowym sadem. Powstanie swe zawdzięcza znacznej ofierze p. Haaka, złożonej Sekcyi przemysłu ludowego.

— „Kuryer Sosnowicki“ podjął pierwszy myśl ogłoszenia Kwestyonariusza robotniczego, motywując, iż jakkolwiek kwestyonariusze w ogóle nie przyczyniają się do rozstrzygnięcia i polepszenia sprawy, w każdym razie dopomagają do wyjaśnienia jej stron zaniedbanych przez rozpatrywanie życia i potrzeb współczesnego robotnika. W celu zebrania odpowiedniego materiału, przygotowano projekt kwestyonariusza, poddając go opinii rzeczoznawców. Składa się on z szeregu pytań, dotyczących zajęcia robotnika, zarobku, wieku, stanu cywilnego, wypoczynku, snu, pożywienia, mieszkania, możliwości zaspakajania najpierwszych potrzeb, rozrywek, stanu umysłowego, oświaty i t. d.

Pomysł powyższego kwestyonariusza jest w danej chwili bardzo pożądanym i powinien znaleźć poparcie we wszystkich pismach miejscowych. Z wyniku jego będziemy mogli wnioskować, jakie potrzeby domagają się przedewszystkiem zaspokojenia i poprawy.

— Dnia 2-go b. m. odbyło się poświęcenie i otwarcie domu Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie, przy ulicy Radziwiłłowskiej. Prezes Towarzystwa, prof. Nowak, witał w przedśionku przedstawicieli Akademii Umiejętności, prezydenta, przedstawicieli władz i urzędów, przedstawicieli Towarzystw lekarskich, handlowych, przemysłowych, technicznych i licznie zgromadzonych gości. Po poświęceniu i przemowie kanonika d-ra Rychlaka, odczytano protokół posiedzenia Towarzystwa, poczem przedstawiono wybraną komisyję, złożoną z pp.: prof. d-ra Ciechanowskiego, prof. d-ra Kryńskiego, prof. d-ra Domańskiego i prof. d-ra Browicza dla opracowania polskiego słownika lekarskiego, którego pierwszy egzemplarz drukowany i opracowany złożono w dniu poświęcenia własnego gmachu. Na zakończenie uroczystości rektor, prof. d-r Cybulski, wygłosił odczyt p. t.: „Materia promienista jako środek leczniczy.“

— Zarząd krakowskiego Towarzystwa p. n. „Polska sztuka stosowana“ rozstrzygnął konkurs ogłoszony na

projekt urządzenia gabinetu męskiego. Sędziami konkursu byli pp.: Jan Bukowski, Tadeusz Rychter, prof. Jan Stanisławski, Jan Szczepkowski, Edward Trojanowski, Jerzy Warchałowski, Kacper Żelechowski.

Z 13-tu nadesłanych prac żadna nie odpowiadała wymaganiom konkursu, postanowiono zakupić projekty poszczególnych okazów razem na sumę nagrody 500 koron. Wyróżniono 4 projekty: jeden pod godłem «SW. PO. MJ.» (nagroda 300 koron) Jana Rasza z Krakowa, drugi «Korab», trzeci «Com ta miał, tom ta dał» i czwarty projekt «Z.» Prace niniejsze wystawione będą w ciągu dwóch tygodni na widok publiczny w pałacyku hr. Czapskich w Krakowie.

— Dnia 2-go b. m. zmarł we Lwowie ś. p. Tadeusz Barącz znany i wybitny artysta-rzeźbiarz. Prace jego, wystawiane niejednokrotnie na wystawach europejskich, zyskiwały mu rozgłos i uznanie. Po ukończeniu studiów rzeźbiarskich w Monachium, gdzie uzyskał medal srebrny za kompozycję konkursową p. t. «Wojna», artysta osiedlił się we Lwowie, z kąd prace jego wychodziły w świat, rozsławiając imię jego artystyczne. Był twórcą wielu pomników, popiersi, medalionów, z których szczególnie wyróżniły się następujące medaliony artystów-malarzy: Siemiradzkiego, Rodakowskiego i Tępy; biusty: Teofila Lenartowicza, J. N. Kamińskiego i wielu innych, na koniec pomniki: Jana Sobieskiego we Lwowie, Chrzanowskiej w Trębawli. Był też autorem projektu pomnika Tadeusza Kościuszki, nagrodzonego na konkursie polskim w Ameryce.

Przeżył zaledwie lat 55.

ODPOWIEDZI.

— Łódziance. — Prosimy o dokładny adres i nazwisko, a odpowiemy wyczerpująco.

Nadesłane nowości.

Juliusz Słowacki: „Beatryx Cenci.“ Tragedya. Biblioteka powszechna warszawskiej Spółki wydawniczej, wydawca J. Mikulski.

Mieczysław Rościszewski: „Dobry ton.“ Szkoła pożytku z ludźmi wszelkich stanów w stosunkach poufnych i ceremonialnych. Jan Fiszer. Warszawa, 1905.

Mieczysław Rościszewski: „Tańce salonowe,“ z rysunkami. Jan Fiszer. Warszawa, 1905.

Janina Przeclawska: „Dusza,“ fantazyja dramatyczna w 4-eh obrazach. „Wrażenia.“ — „Myśli.“ — „Obrazy.“ Druk P. Laskauera i S-ki. Warszawa, 1905.

Stanisław Brzozowski: „O Stefanie Żeromskim,“ studjum. Nakład Centnerszwera i S-ki. Warszawa, 1905.

Michał Mutermilch: „Żydzi,“ powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1905.

Piętnaście lat w legionach, pamiętniki Kazimierza Tańskiego, generała b. wojsk polskich, z przedmową i przypisami St. Wojciecha Turowskiego. Nakład księgarni E. Wende i S-ki. Warszawa, 1905.

— Przypominamy Szan. Prenumeratorkom o wczesne wniesienie przedpłaty na kwartał drugi.

Treść numeru:

Rozwój fizyczny dziecka i krzywica, przez d-ra Józefa Brudzińskiego. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryję Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Zostań nadzieją... (wiersz), przez Lilianę. — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Wystawa Maryańska, przez ks. H. Skimborowicza. — Z sali odczytów, przez Zofię S. — Z listów do „Bluszezu“ z Krakowa, przez M. Świd. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 9-ty powieści „Dziennik psotnego chłopca,“ w przekładzie Zofii S.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 14). — Przepisy kuchenne.

Jedwabie

czarne i kolorowe
mieniące
bluzkowe

Bluzki jedwabne odpasowane
Kanausy, Ałasy w różn. kolor. i gatun.

Kretony, Batysty, Satyny
Muśliny, piki
Płótna kostyumowe

Przybrania do sukien.

BRACIA JABŁKOWSCY
Warszawa, Bracka 23.
polecają:

NA SEZON
Wiosenny i Letni.

Wełny

czarne
kostyumowe
wizytowe

Wełny

tenisowe
szkockie
bluzkowe

Woale, Grenadyny, Szewioty w rozm. gatun. i kolor.
Sukienka Kostjumowe. Sukna.

Towar dóborowy Krajowy i Zagraniczny.

Ceny nizkie.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

A. Czarnowskiej w Warszawie 38 Hoża 38.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien i okryć damskich można gruntownie nauczyć się KROJU i SZYCIA. Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych, uczniowie otrzymują świadectwo cechowe na mistrzynię i podmistrzynię.

**Źródłem siły
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.
Wstrzegać się bezwartościowych naśladownictw.
Brozury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karczewski,
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

ZWROTKI

Józef Jankowski.

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytornym angielskim papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Доволено Цензурою. Варшава, 3 Марта 1905 г.

Przy Magazynie Mód
E. LOTH

Krakow. Przedm. 9, m. 4.

Pierwsza w kraju przez władze zatwierdzona — **SZKOŁA**

Modniarstwa i Kwaciarsstwa

z prawem wydawania patentu po ukończeniu.

Kurs 4-o miesięczny.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE
GRETILLAT**

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE
JAHŁKOWSKIEJ**

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

**WYKWINTNE KAPELUSZE
i SUKNIE ŻAŁOBNE**

F. ŚWIEJKOWSKI

132 Marszałkowska. Telefonu 1954.

**LEKARZ DENTYSTA
A. ZAWADZKI**

Marszałkowska 108 róg Chmielnej.

Wyjaśnienie.

Uważamy sobie za obowiązek podać do wiadomości, iż ofertę ujawnioną w naszym piśmie p. n.: **Studentowi Uniwersytetu** otrzymaliśmy z biura ogłoszeń pani A. Kaweckiej (Senatorska 26) i za zredagowanie, oraz intencje tejsze odpowiadać nie możemy. Dalsze ogłoszenia wstrzymujemy. Ogłoszenie powyższe dostało się do naszego pisma jedynie w skutek pomyłki administracji, co niniejszem prostujemy. Honorarium pobrane w sumie rs. 2 — przeznaczamy na Chleb dla głodnych.

Prasuje bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.
Warecka No 9 m. 8.

Biedna wdowa po urzędniku uprasza Szanownych Państwa o łaskawą pomoc dla syna chorego na suchoty. Ulica Ogrodowa Nr. 52, m. 35. **Bronisława Gruszecka.**

Księgarnia J. Fiszer, Nowy-Świat 9 w Warszawie — zaleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkier i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.
Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.
Wypisy Francuskie kop. 80.
Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.
Amerykański Przewodnik kop. 50 mały 5.
Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40; — kurs I-y kop. 1.40; — kurs II-gi kop. 1.80.

Nakład autora Złota 6, Warszawa

Najlepszy środek kosmetyczny

nadający cerze świeżość i czystość

Źródło piękności



Patent w Anglii

Crème CAZIMI

Metamorphosa

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka przeciw plegom jest podpis **Calimi**

i dołączony do każdego słoika rysunek „ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI” **Calimi**

Bez podpisu i rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683 — **FALSYFIKAT.**

Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.



№ 1. Okrycie wiosenne dla dziewczynki od 4—6 lat.

№ 2. Sukienka z bluzką dla dziewczynki od 10—12 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 40—50).

Wzory ubiorów i robót do Nr. 12.

№ 1. Okrycie wiosenne dla dziewczynki od 4—6 lat.

Okrycie z granatowego szewiotu, na półjedwabnej podszeźwie, przybierają mankieci i kołnierzyk wykładany z granatowego aksamitu, oszyte sutaszem. Podwójny pelerynkowy kołnierz, stebnowany brzegami, wysuwa się z pod wykładanego kołnierza. Okrycie, formą saku, zapięte na 2 rzędy rogowych guzików. Na bokach rozporki, w dole stebnowka.

Potrzeba: 2 mtr. szewiotu podw. szer., 30 ctm. aksamitu, 3 mtr. sutaszu, 6 guzików, 2½ mtr. półjedwabnej podszeźwi.

№ 2. Sukienka z bluzką dla dziewczynki od 10—12 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 40—50).

Sukienka z białego, szewiotu układa się z prostej spódniczki, w odstępach ułożonej w kontrafaldy, przyszytej do staniczka z podszeźwi i z bluzki z tyłu pod kontrafaldą zapiętej, wszytej w pasek z materiału. Granatowe, welniane taśmy w dwóch szerokościach stanowią przybranie. Taśmą naszyta sukienka w dole pasek, mankiety i duży kołnierz, który nadto, zdobia haftowane, sportowe motywy. Wycięcie przy szyi wypełnia napierśnik z białej materyi, albo z batystu. Taką samą sukienkę uczynić można praktyczniejszą i mniej kosztowną, sporządzając ją z szewiotu granatowego.

№ 3. Skromna domowa suknia, odpowiednia też do żałoby.

Suknia z ciemnego, welnianego materiału, składa się z gładkiej, na podszeźwie wykończonej spódnicy, zastebnowanej w dole, w odstępach, w parę drobnych zakładki i z bluzki, wszytej z przodu i z tyłu w jednokowo ścięty karczerek z materiału sukni, zastebnowany w drobne zakładeczki. Plisy tworzące naramienniki przybierają przody i dół rękawa również zakładkami zakończone.

Tym samym fasonem sporządzić można suknię z czarnego materiału odpowiedniego do żałoby, karczerek zaś i plisy naszywając krepą.

Potrzeba: 6 mtr. mat. podw. szer., 2½ tuzina drobnych guzików.

№ 4. Skromny kostium z krótkim kaftanikiem.

Materiał: zibelina w szaro zielonym tonie. Spódnica, wykończona na oddzielnej podszeźwie, naśladu-

je wierzchnią, nastebnowaną na spódnice drugą i tworzy rodzaj tuniki. Krótki kaftanik, złożony także z dwóch części, wierzchniej, nastebnowanej na spódnia, przedłużonej rodzajem naramienników, zapięty na 2 rzędy złożonych guzików. Rękawy od góry zastebnowane w drobne zakładeczki, przy ręku przybrane odpowiednio do całości. Kaftanik przybiera i ożywia kołnierzyk wykładany z białego sukna, objęty sukrem zielonym, z którego też sporządzony jest wysoki gorsecikowy pasek, zapięty z tyłu. Kołnierzyk stojący i napierśnik z białego batystu, zmieniać można dowolnie.

Potrzeba: 6½ mtr. materiału podw. szer., 15 ctm. białego, ¼ mtr. zielonego sukna, 10 guzików.

№ 5. Ubranie z materiału w kratkę, odpowiedni dla młodej osoby.

Materiał: wełna beige w ciemno-zielone kratki. Oryginalna spódnica, fałdowana, równa do okola, z bokami nałożonymi na wierzch i zakończonymi w górę w kształcie patek. Stanik w rodzaju krótkiego, okrągło uciętego bolera, otwiera się na kamizelkę z ciemno zielonego sukna, zakończonej plisowaniem z zielonej materyi, opadającą na pasek gorsecikowy z zielonego sukna. Naszyte z sutaszu złote i zielone, oraz złote guziczki zdobia kamizelkę i przody stanika. Mały wyłożony kołnierzyk z białej, uplisowanej materyi. Także sam stojący i mankiety przy rękawach, od łokcia wazkich, sporządzonych z plis sukiennych, naszytych sutaszem.

Potrzeba: 6½ mtr. wełn. mat. podw. szer., ¼ mtr. jedwabiu zielonego, ½ mtr. białego, ½ mtr. zielonego, sukna, 3 tuziny guzików złożonych, 5 tuzinów kółek z sutaszu, 4 mtr. sutaszu złote, 5 mtr. jedwabnego.

№ 7. Bluzka dla młodej panienki.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 100—104).

Bluzka z welnianego materiału w pasy, skrojona ukośnie i złożona w kontrafaldy, przytrzymane na ramionach pętelkami z sutarzu i złożonymi guzikami. Także same pętelki z guzikami naszyte są na fałdach powyżej stanu, na przednim, środkowym szwie i na mankietach. Rękawy przy ramionach i mankietach marszczono. Napierśnik z plisowanej białej materyi i biała krawatka ożywiają bluzkę.

№ 9. Skromna suknia domowa.

Suknia z szarego materiału *mélange* składa się ze spódnicy, lekko przymarszczonej w stanie, sporządzonej na oddzielnej podszeźwie, zakończonej w dole trzema głębokimi zakładkami i z gładkiej bluzki zapiętej na drobne metalowe guziki. Przybranie bluzki stanowi jedwabna, ozdobna plecionka, mały kołnierzyk z czarnego aksamitu i czarny aksamitny pasek. Rękawy w górze namarszczone, od łokcia wąskie.

№ 10. Kostium wiosenny z bluzkowym paltocikiem.
(Patrz szkic b).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 115—128).

Kostium z granatowego, niezbyt ciemnego szewiotu, składa się z krótkiej, w około równej spódnicy, ułożonej w płaskie, szerokie fałdy i wykończonej bez podszeźwi i z bluzkowego stanika, dopełnionego długą odciętą baskiną, podszytą strojną jedwabną podszeźwą. Przody



№ 3. Skromna domowa suknia, odpowiednia też do żałoby.

№ 4. Skromny kostium z krótkim kaftanikiem.

bluzkowego stanika, ułożone w fałdy, rozchodzą się na białej sukiennej kamizelce haftowanej i wyszytej, na granatowym jedwabiu. Kołnierzyk i mankiety też za-
haftowane granatowo, zakończona marszczona koronecz-
ka Valenciennes. Wycięcie kamizelki wypełnia płó-
cienna szmizetka ze stojącym kołnierzykiem. Fałdy
na plecach stanika schodzą się z fałdami baskiny, któ-
rej przyszyte pokrywa pasek z materiału.

№ 11. Toaleta wizytowa z czarnej materji.

Toaletę z czarnej materji messaline, z oryginal-
nie ułożonym stanikiem, strojnie przybierają według for-
my wycięte plisy z czarnego aksamitu oraz aksami-
tne pastilles. Spódnica powłóczysta, wykonana na
sporządzonej podszewce. Karczerek u stanika ułożony
z gipiury irlandzkiej oddzielnej na białej jedwabnej ma-
terji chiffon. Rękawy zakończają falbany plisowane
z tejże materji. Wysoki pasek zapięty z tyłu.

Potrzeba: 8 mtr. materji messaline podw. szer.,
2½ mtr. aksamitu, 1 mtr. gipiury, ½ mtr. materji i ty-
leż chiffon pod karczerek, 3 mtr. plisowania do rękawów.

№ 12. Ubranie z podwójną marszczoną spódnicą. (Patrz szkic c).

Materiał: kaszmir w kolorze brudno lila. Wierz-
chnia marszczona spódnica, zakończona szerokim obrę-
bem, luźno opada na spódnicę z taffetas w tym samym
kolorze zakończoną szeroką kolistą falbaną z kaszmiru,
wykończoną na podszewce z taffetas. Marszczona bluz-
ka wszyta w karczerek z aksamitu w ciemniejszym to-
nie, naśladrzającego kołnierzyk, wycięcie którego wypeł-
nia szmizetka z kremowej gipiury. Rękawy gigoł lek-
ko namarszczone, zakończone koronkowymi falban-
kami. Pasek z wstążki Libry 15 ctm. szerokiej, do-
branej do koloru sukni.

Potrzeba: 7½ mtr. sukna podw. szer., ¼ mtr. aksa-
mitu, ½ mtr. gipiury, 1 mtr. wstążki, 6 guzików, 2 mtr.
koronki 10 ctm. szer. do rękawów.

№ 13. Suknia ze stanikiem z baskiną, odpowiednia dla osoby starszej. (Patrz szkic e). Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—20).

Suknię w kolorze fioletowym, strojnie przybiera
materja w tym samym tonie przykrajana w plisy róż-
nej szerokości zakończone w górę zębami, obwie-
dzionemi jedwabnym sutaszem. Plisy takie okalają
spódnicę, obejmują baskinę stanika i kołnierzyk. Stanik



№ 5. Ubranie z materiału w kratkę odpowiednie
dla młodej osoby. (Patrz szkic c).

bluzkowy, ułożony w fałdy, przy-
brany szalowym kołnierzem, nisko
zapięty na 2 rzędy ciemniejszych,
metalowych guzików. Wycięcie
kołnierza wypełnia szmizetka z pli-
sowanego chiffon i krawat z ko-
ronki.

Przepisy kuchenne.

Mieszane jarzynki z grzankami, albo
z kotlecikami z móżdżku.

Kapustę, brukselkę sparzoną,
odlać z wody i uduzić w maśle.
Ugotować kalfior w wodzie z so-
lą i cukrem. Marchewkę karotę
pokrajaną w drobną kosię ugo-
tować też osobno krótko z ma-
słem. Tak samo kalarepkę, gro-
szek zielony, suszony lub świeży,
trochę drobnej fasolki, a w koń-
cu jeden karczoch obrany staran-
nie z koleców, obgotować w wo-
dzie z solą i sokiem z cytryny.
Tak przygotowane jarzyny ułożyć
na okrągłym półmisku, kładąc
w środek karczoch, a w około
warstwami różne jarzynki. Obło-



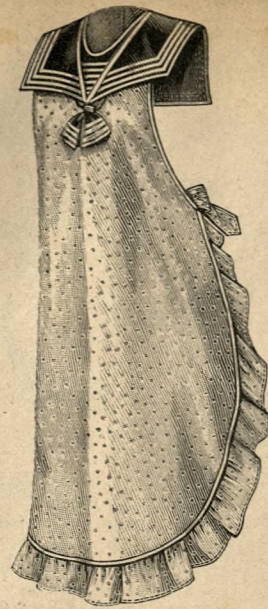
№ 10. Kostium wiosenny z bluzkowym palto-cikiem.
(Patrz szkic b).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 11—21)



№ 6. Fartuszek z ponsowej al-
paci dla dziewczynki od 5—6 lat.
(Krój i wskazówki odw. str.
tabl. Fig. 129—131).



№ 7. Fartuszek z ponsowej al-
paci dla młodej pani. (K.
dw. str. tabl.
100—104).



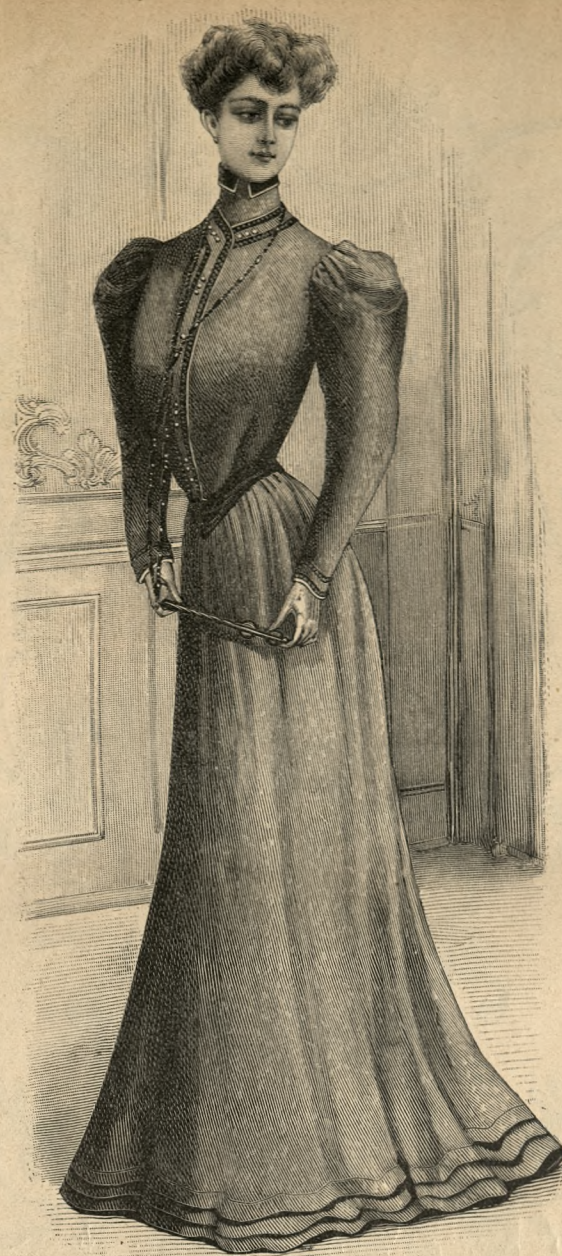
№ 8. Fartuszek płócienny dla
dziewczynki od 13—15 lat.
(Krój i wskazówki odw. str.
tabl. Fig. 131—133).



№ 11. Toaleta wizytowa z czarnej materji.



№ 12. Ubranie z podwójną marszczoną spódnicą.
(Patrz szkic d).



№ 9. Skromna suknia domowa.

żyć francuskimi pasztecikami z móżdżkiem, lub
rybą, grzaneckami z bułki, albo kotlecikami
z móżdżku.

Śledzie smażone.

Śledzie mleczaiki wymoczyć w mleku, zmienia-
jąc go parę razy na dzień. Oczyszczone i obdarte
ze skórki obetrzeć na sucho, umaczać w rozbitem
jajku, osypać bułeczką i usmażyć na lekko rumia-
nem maśle. Podawać z kartoflami puré i sosem
kapatowym. Mlecza spożytkować na paszteciki
w muszelkach.

Mleczo śledzi w muszelkach.

Łyzkę masła zasmażyć lecz nie zrumienić z ce-
bulką, skropić niem tartą bułeczką, dodać usie-
kanych serdeli, kaparów lub drobno pokrajanych
korniszonów, natki z pietruszki, parę łyżek śmie-
tany, soku z cytryny i odrobiny cukru. Na muszel-
kach ułożyć mlecza w środku, pokryć je wyżej
przygotowanym farszem, polać roztopionem ma-
słem, osypać bułeczką i wstawić w piec na 10—15
minut. Gdy się zaczyna rumienić zaraz podawać
z cytryną.

Jaja sadzone na śmietanie z parmezanem.

Na 8 jaj wlać na niklową brytfannę lub ka-
mienną duże 4 łyżki śmietany. Gdy śmietana za-
cznie się gotować, wbić ostrożnie jaja, posolić,
posypać parmezanem, siekaną natką z pietruszki
i koperku i wstawić w piec. Jak się zsiądą
podawać z brytfanną. Doskonała przekąska po
wódce w dzień postny.



Szkic c
do rvc. 5.

Szkic d
do rvc. 12.

Szkic e
do rvc. 13.



№ 13. Suknia ze stanikiem z baskiną, odpowiednia
dla osoby starszej. (Patrz szkic e).
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—20)

Doskonałe śledzie marynowane.

Śledzie w dobrym gatunku (uważać, żeby mia-
ły małe główki), namoczyć na 24 godzin, kilkakro-
tnie zmieniając wodę. Wyplukać czysto, obdrzeć
ze skórki, wyjąć ości, odrzucić głowy i ogony,
czyli każdego śledzia obranego z ości i przepolo-
wionego ułożyć w stoju, przekładając krajanemi
cienko grzybami marynowanemi, korniszonami,
plasterkami obranej cytryny, białej cebuli i prze-
sypując tłuczonymi korzeniami. Gdy już ułożone,
zalać przygotowanym octem, wystudzić i zupeł-
nie. Ocet pomieszać można z rozartem mlecza-
mi, lub mlecza włożyć w całości jeśli ktoś nie
lubi zamoczonego sosu.

Legomina czekoladowa.

Pół kwatarki kaszki pszennej ugotować na
mleku, w połowie rozcieńczonem wodą. Gotując
uważać trzeba, żeby kasza była zupełnie gęsta,
a nie przypalała się i nie tworzyła krupek. Gorącą
wyłożyć na miskę i rozetrzeć zaraz, (bo stygnąc
tworzy gruzolki) z 5-ma tabliczkami (4 tabliczki
¼ funta) utartej czekolady. Następnie utrzeć do-
skonałe z żółtkami, wbijając po jednym, 10 żółtek.
W końcu wymieszać z pianą z 10-ju białek, wyłożyć
w rondel, wysmarowany grubo masłem młodem
i wysypany bułeczką i piec 3 kwadransy. Podaje
się z szodonym.

Szodon. Żółtek 10—12 utrzeć na pianę z ½ fun-
tem utartej czekolady, wymieszać z 2½ szklanki-
mi mleka i mieszać w rondlu na ogniu, aż szodon
zgęstnieje, baczając, by się nie zagotował. Powinien
być bardzo gęsty. Kto lubi legominę bardzo słod-
ką może tak do legominy jak i do szodonu dodać
trochę cukru.

Obiad na Niedziele.

Koldony.
Zupa pomidorowa czy-
sta z grzankami z
parmezanem.
Sandacz z jajami.
Kalaflory z holender-
skim sosem.
Polędwica z krokietami
z kartofli.
Krem czekoladowy.

Koldony.
Zupa pomidorowa czy-
sta z grzankami z
parmezanem.
Pieczeń cielęca z bo-
rówkami.
Kompot mieszany.

